

61

CÓRKA JÓZEFA BALSAMO
HRABINA CAGLIOSTRO

BRADY & CO. PHOTOGRAPHERS
101 N. 3rd St. St. Louis, Mo.

452.204
M. LEBLANC

CÓRKA JÓZEFA BALSAMO
HRABINA CAGLIOSTRO

TOM I.



Skład główny w Stowarzyszeniu Pracowników Księgarskich
Spółka z ogr. odp. w Warszawie.



I. 452.204

T. 1.

I. Ak. 319

ARSENE LUPIN
W DWUDZIESTYM ROKU ŻYCIA.

Raul d'Andrassy zeskoczył ze swego roweru i zagasił latarnię, płonąca u kierownika białem ostrem światłem. Rozejrzał się wokoło i, wyszukawszy rozłożysty krzak, starannie ukrył pod nim rower. W tej samej chwili zegar na wieży kościelnej w Bénouville wybił godzinę trzecią.

Okryty głębokim mrokiem nocy, młody człowiek szedł połą ścieżką, prowadzącą do majątku Haie d'Etigues; po krótkim marszu zbliżył się do muru okalającego pałac, — starą, wspaniałą rezydencję magnacką. Zatrzymał się przez chwilę, nad słuchując z napięciem: dobiegł go odgłos kopyt końskich uderzających o bruk podwórza, głuchy turkot toczącego się przez nie powozu, echo głośniejszej detona-

cji i wreszcie przeraźliwy zgrzyt szeroko na swych zawiasach roztwieranej bramy. Jakiś brek go minął i zanim Raul zdołał cośkolwiek rozróżnić w bezładnym gwarze dobiegających zeń głosów — już woźnica skręcił na szosę prowadzącą ku Etrétat.

„Polowanie — pomyślał młodzieniec — bezwątpienia jada aż na Skały, a że jest to porządnie daleko, będę więc miał dość czasu aby wykryć, zanim wróca, co oznacza to zaimprovizowane tak zagną, zebranie łowieckie, te bezustanne przyjazdy, wyjazdy i narady“.

Skręciwszy na lewo szedł wzdłuż muru; uszedłszy czterdzieści kroków zatrzymał się, i wyciągnąwszy z kieszeni dwa klucze, jednym z nich otworzył wąskie, niskie drzwi w murze. Po starych, napół wałących się schodach Raul wspiał się na pierwsze piętro jednej z pałacowych oficyn; drugim kluczem otworzył tajne drzwiczki i znalazł się w długim, ciemnym korytarzu. Służba pałacowa mieściła się po przeciwnej stronie, a drugie piętro oficyn zamieszkiwała Klaryssa d'Etigues, jedyna córka starego barona. Raul wiedział o tem, to też bez najmniejszej obawy i nie zachowując żadnych środków ostrożności, skierował się w stronę gabinetu barona; w tym to wielkim, poważnie umeblowanym pokoju, przed paroma zaledwie tygodniami, prosił barona o rękę jego córki. Tutaj spotkała go gwałtowna, obelżywa odmowa, której wspomnienie dziś

jeszcze budziło w nim uczucie niepohamowanego gniewu.

Duże lustro ścienne przesłało mu odbicie jego bladej, ściągłej twarzy; Raul d'Andrassy zatrzymał się chwilę aby przy świetle swej kieszonkowej laski przyjrzeć się sobie. Ale że nie zwykł był tracić czasu i że w każdej sytuacji pamiętał o raz nakreślonym celu, więc po paru chwilach z zupełnym spokojem i zimną krwią zabrał się do roboty.

Nie była ona ani długą ani zbyt skomplikowaną; podczas owej burzliwej rozmowy z ojcem Klaryssy, młody człowiek zauważył iż spojrzenie starego barona, biegnąc, że źle ukrywanym niepokojem, ku wielkiej mahoniowej sekretarce, której ruchome wieko, nie było podniesione. Raul znał budowę najbardziej skomplikowanych mechanizmów i umiał otworzyć najoporniejszy zamek; to też po krótkim wysiłku opuścił wieko staroświeckiego biurka i mógł zabrać się do przetrząsania wszystkich jego skrytek. W jednej z nich znalazł list, pisany na bardzo cienkiej bibułce i nie zawierający ani podpisu ani adresu.

Treść jego w pierwszej chwili wydała mu się bez znaczenia, z niektórych zdań jednak umyślnie urywanych, ze słów, których podwójnego znaczenia się domyślał, zdołał po pewnym czasie odbudować tekst następujący:

„Udało mi się w Rouen natrafić na ślady nędz-

nicy. Pomieściłem więc w tamtejszych gazetach notatkę iż pewien włościanin z okolic Etretat, kopiąc swe pole, natrafił na świecznik siedmioramienny. Dowiedziałem się iż wkrótce potem wysłała depeszę do naczelnika stacji w Fécamp z prośbą o zamówienie jej koni na dworzec, na godzinę 3cią popoł. w dniu 12 b. m. Tegoż dnia rano depesza ta zostanie odwołana; w ten sposób konie, które zastanie na stacji, będą *Twoimi* końmi i zawiozą ją do nas, na nasze zebranie. Będziemy więc mogli ją osądzić i wyrok nasz z całą surowością wykonać. Nie przesądając o wyniku, radziłbym jednak pamiętać o naszej ostatniej rozmowie, a przede wszystkim o tem iż całe powodzenie naszego zamysłu, ba, poprostu bezpieczeństwo naszego życia, zależy od tej piekielnicy. Zaklinam Cię abyś był rozsądnym. Pod pozorem polowania zwołaj naszych przyjaciół. My trzej przybędziemy przez Hawr i staniemy na miejscu punkt o czwartej. List ten zwrócisz mi przy spotkaniu“.

— Zbytek ostrożności jest także błędem — pomyślał Raul — gdyby zamiast chować ten list do zwrotu neufnemu autorowi, baron był go spalił, nie dowiedziałbym się nigdy iż projektuje tu się porwanie, a może nawet morderstwo. Mimo całej swej pozornej pobożności przyszedł mój teść wplątał się w bardzo brzydką sprawę. Ale im gorzej dla niego tem lepiej dla mnie.

Raul zatarł ręce; niezwykła ta sprawa pociągała go. Nie była dlań zresztą zupełnie nieoczekiwana. Niektóre bowiem, na pozór drobne fakty, oddawna już obudziły jego czujność. Przyprawiając biurko do porządku postanowił wrócić do zajazdu, przespać się, a nazajutrz zawczasu objąć czaty aby być świadkiem tego co przedsięwzięcie baron i jego przyjaciele przeciwko tej „piekielnicy“ której zguby tak zdawali się pragnąć.

Raul jednak nie odszedł; jakby mimowoli zatrzymał się przed małym stolikiem na którym stała fotografia Klaryssy d'Etigues. Z niewypowiedzianą tkliwością wpatrzył się w delikatne, śliczne rysy dziewczęcia. Klaryssa była niewiele młodszą od niego, miała lat osiemnaście; wielkie, marzące oczy koloru najczystszej błękitu, spoglądały z pod bujnej czupryny i blaskach roztopionego złota, świeże, ponosowe usta uśmiechały się niewinnie a kusząco w delikatnej, dziecinnie różowej twarzyczce.

Jakaś chmura przysłoniła twarz młodzieńca: Klaryssa była opodał i była sama. Dzięki tajemniczemu przejściu, które mu pokazała i kluczom w jakie go zaopatrzyła, zdołał już dwukrotnie, niepostrzeżony przez nikogo, widzieć się z nią w godzinach popołudniowych. Czemuż nie miałby pójść do niej teraz? Służba nocowała zbyt daleko aby usłyszeć jakikolwiek szmer, a baron mógł wrócić dopiero przed wieczorem.

Raul nie mógł oprzeć się pokusie, wiedziony dumą, miłością, pożądaniem, biegł szybko na schody, wiodące ku pokojom jego ukochanej. Ale drzwi tych pokoi były zamknięte i młody człowiek, sam nie zdając sobie sprawy czemu, zatrzymał się na ich progu. Z taką łatwością, z takim pośpiechem wchodził tu już dwukrotnie, ale było to we dnie. Jakież inne znaczenie miał ten sam krok w nocy!

Wahanie jednak nie trwało długo. Raul zapukał i zawołał z cicha:

„Klarysso... Klaro... to ja“.

Głucha cisza była całą odpowiedzią; młody człowiek zapukał natarczywiej, jeszcze i jeszcze raz. Wówczas drzwi uchyliły się nieco i młoda dziewczyna stanęła na progu. W łagodnym świetle nocnej lampy Raul dostrzegł drżenie jej rąk, jej bladość, przestрах jaki malował się w jej spojrzeniu — i wzruszył się.

— Najdroższa moja — szepnęła — wybacz mi... Nie uczynię ci nic złego. Chciałem Cię tylko zobaczyć i oddałę się na pierwsze twoje żądanie.

Gdyby Klaryssa mogła była usłyszeć te słowa i zdać sobie z nich sprawę, byłaby uratowaną; niestety, przestрах i wzruszenie odebrały jej przytomność i siły. Chciała się gniewać, chciała się bronić. Ale ani jedno słowo nie wyszło z jej ust, a ramię jej nie mogło wykonać ani jednego ruchu. Pobladła bar-

dzień jeszcze, zachwiała się i zemdlona upadła na ziemię. Raul był już przy niej, uniósł ją w ramionach i tuląc do piersi, pocałunkami starał się przywołać ją do przytomności.

Spotkali się trzy miesiące temu, na południu Francji, gdzie Klaryssa bawiła u szkolnej przyjaciółki, i pokochali się od pierwszego wejrzenia. Dla niego miłość ta była czemś nieskończenie drogiem, czemś świętem co podtrzymywało go i przyświecało mu w najśmielszych jego zamiarach; dla niej były to więzy ciężkie, ale z każdym dniem droższe. Kochała Raula nie mogąc zrozumieć jego natury bogatej, ale tak nieuchwytniej, tak zmiennej. Jego lekomyślność, ironia, jego duma — przestraszały ją, ale nie mogła oprzeć się temu czarowi, jaki wokół siebie roztaczał. Nawet jego wady wydawały się jej zaletami; kochała w nim nawet to, a może przede wszystkim to czego zrozumieć nie mogła.

Po powrocie do Normandji, zauważyła któregoś ranka jego zgrabną postać na murze, naprzeciw swych okien. Zamieszkał w pobliskim zajeździe i codziennie widywał się z nią potajemnie.

Klaryssa nie miała matki; mieszkała stale przy swym ojcu, który mało się nią zajmował. Był to zresztą, przy całej swej przesadnej pobożności, człowiek twardy, gwałtowny i próżny. Dzierżawcy i włościanie nienawidzili go, a gdy Raul, nie będąc mu nawet formalnie przedstawionym, zdobył się na

czelność proszenia go o rękę jego jedynej córki, stary baron wpadł we wściekłość i byłby obił pejcza niefortunnego konkurenta, gdyby Raul nie był go pohamował jednym z tych spojrzeń, jakimi się poskramia dzikie zwierzęta. Pan d'Andrassy, nie był zresztą istotnie odpowiednią partją dla panny d'Etigues; nikt nie znał jego rodziny, a on sam był młodziekiem, bez fortuny i bez stanowiska.

Klaryssa jednak spoglądała nań innymi oczyma; dla niej był on całym światem; z zaufaniem młodego, niewinnego dziewczęcia powierzyła mu klucze swego buduaru, a on dziś wyzyskał to zaufanie z całą bezwzględnością zakochanego....

Następnego ranka panna d'Etigues nie zeszła na śniadanie, lecz kazała je sobie przynieść do sypialni; Raul ukrył się w przyległym pokoju. Po śniadaniu usiedli pod oknem i długo wpatrywali się w morze, objęci tkliwym uściskiem, myśląc o minionej nocy, która złączyła ich silniej niż wszystko co sobie dotychczas byli powiedzieli.

Klaryssa płakała.....

Raul ujął jej dłonie i szepnął łagodnie.

— Nie smuć się, kochanie. W naszym wieku życie jest tak pięknem! Wierzaj mi, że pokonamy wszystkie przeszkody i zdobędziemy szczęście.

Klaryssa obtarła oczy i usiłowała się uśmiechnąć; spojrzenie jej z niewypowiedzianą tkliwością

spoczęło na ukochanym: był on smukły ale silnie zbudowany, śmiało lecz zarazem wesołe spojrzenie jego oczu przeczyło ironicznemu wyrazowi jego ust. Ubrany w krótkie spodnie sportowe i doskonale skrojoną marynarkę wyglądał zgrabnie i elegancko.

Raulu — szepnęła z wyrzutem — spoglądasz na mnie a jednak czuję że myślą jesteś gdzieś daleko. Czyż po tem wszystkim, co między nami zaszło, nie umiesz mi poświęcić niepodzielnie tych kilku godzin naszego sam na sam? O czem myślisz Raulu?

Młody człowiek roześmiał się.

— O twoim ojcu — odparł.

— O moim ojcu?

— O nim i o jego gościach. Powiedz mi jak mogą ludzie w ich wieku spędzać całą noc i prawie cały dzień na strzelaniu Bogu ducha winnych ptaków?

— To ich bawi.

— Tak myślisz Klaro? A ja ci powiem otwarcie, że gdybyśmy nie byli w roku 1894 posądziłbym twego ojca... wiesz o co? O spisek. Markiz de Rolleville, p. de la Beaupaliere, hr. Oskar de Bennetot, p. Roux d'Estieres — wszyscy ci zacni panowie z prowincji Caux zebrali się tu dla spisku.

Klaryssa uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Żartujesz mój drogi.



— A jednak tak chętnie mi się przysłuchujesz, dziecino, — odparł Raul, przekonany że dziewczę nie zrozumiało nic z tego co mówił — i widzę po twych oczach że czekasz kiedy przejdę do poważniejszych tematów.

— Na temat miłości — odparła Klaryssa, obejmując szyję kochanka.

Całe moje życie jest i będzie tylko miłością dla ciebie, Klaro. Wszystkie moje kłopoty, wszystkie zmartwienia związane są z niemożnością zdobycia ciebie, wszystkie poczynania dążą tylko do tego celu. Wyobraź sobie taką sytuację, maleńka: twój ojciec, jako spiskowiec zostanie aresztowany i skazany na śmierć — a ja go wyratuję. Czyżby mógł mi wówczas odmówić ręki swej córki?

— Tak czy inaczej, wcześniej czy później, ojciec ustąpi naszym prośbom.

— Nigdy... nie posiadam majątku... żadnego poparcia...

— Masz twoje imię.... Raul d'Andrassy...

— Nie mam nawet tego. D'Andrassy jest pannieńskim nazwiskiem mojej matki; owdowiawszy wróciła doń za namową swej rodziny, która była zawsze przeciwną jej małżeństwu.

— Czemu? spytała Klaryssa, zdziwiona tymi nieoczekiwanymi wiadomościami.

— Czemu? Bo mój ojciec był sobie zwykłym śmiertelnikiem, bez tytułu bez majątku... ba, biedny jak Hiob. Zwykły, skromny nauczyciel. I to jeszcze jaki? Nauczyciel gimnastyki, fechtunku i boksu!

— Więc jakie jest twoje prawdziwe nazwisko?

— Bardzo, bardzo pospolite, moja biedna Klarysso.

— Ale powiedz mi wreszcie jak się nazywasz.

— Arséne Lupin..

Klaryssa siedziała bez ruchu. Dla niej osobiście nazwisko jego było rzeczą obojętną, ale myślała o ojcu, dla którego szlachectwo było kwestją pierwszej wagi, warunkiem, od którego nie byłby za nic odstąpił przy wyborze zięcia.

— Nie powinieneś być się wypierać twego ojca— szepnęła wreszcie — być nauczycielem nie jest żadną hańbą.

Raul roześmiał się śmiechem, którego dźwięk dziwną przykrość sprawił Klaryssie.

— Żadna hańba — powtórzył — i mogę cię zapewnić że lekcje boksu i gimnastyki, jakich mi mój ojciec nie szczędził, nieraz mi się już dobrze przydały. Tembardziej matka moja miała inne jeszcze przyczyny dla których „wyparła“ się ojca, przyczyny o których nie wspominam, gdyż nikogo nic nie obchodzą.

Z nagłą, nieoczekiwaną tkliwością objął ją i zaczął tańczyć i skakać po pokoju.

Uśmiechnijże się, malutka — zawołał, — wszystko to jest niesłychanie komiczne. Arsene Lupin — Raul d'Andrassy — czyż to nie wszystko jedno! Najważniejszą rzeczą w życiu jest odrobina szczęścia a ja je posiadam. Nie spotkałem wróżki czy cyganki, któraby mi nie przepowiedziała sławy i majątku. Raul d'Andrassy lub kto chce, Arsene Lupin, będzie ministrem, generałem, wynalazcą może. To moje powołanie, to mój los. Do tego się przygotowałem i na to czekam. Muskuły mam ze stali i głowę nie do pozłoty. Czy chcesz abym stanął na rękach, żebym cię uniósł do góry jak piórko, czy może wolisz abym ci recytował Homera po grecku i Milтона po angielsku? Boże, jakież to życie piękne! Raul d'Andrassy... Arsene Lupin... dwa oblicza bożka Janusa. Na jedno z nich padnie promień sławy.

Umilkł nagle. Jego wesołość prysła bez śladu; uważnie obejrzał się po cichym, wytwornym buduaru, którego ciszę zamącił tak, jak zamącił spokój duszy młodego dziewczęcia, i w jednym z tych porywów, które przychodziły zupełnie nieoczekiwanie i stanowiły nieodparty jego urok — ukląkł przed Klarysą.

— Wybacz mi, jedyna — szepnął — nie powinienem był przyjść tu i nadużyć twego zaufania.

Postąpiłem źle, bardzo źle, ale nie mogłem się oprzeć.... zło i dobro pociąga mnie jednakowo. Wiem jednak że ty Klarysso wskażesz mi zawsze dobrą drogę i wybaczysz moje błędy.

Klaryssa ujęła jego głowę w obie dłonie i odparła:

— Nie mam ci nic do wybaczenia, jedyny. Uczyniłeś mnie szczęśliwą, ale gdybyś mi zadał cierpienie, zniosę je z radością. Masz, daruję ci moją fotografię; noś ją przy sobie i pamiętaj tak postępować, abyś nie potrzebował nigdy czerwienić się parząc na nią. Pamiętaj też że pozostanę dla Ciebie nazawsze tem czem jestem dzisiaj: twoją ukochaną i twoją żoną. Pamiętaj że kocham Cię, Raulu!

Pocałowała go w czoło, a on śmiejąc się znowu powstał z kolan.

— Tym pocałunkiem pasowałaś mię na rycerza, — rzekł, — wierzaj mi iż czuję się niewyciężonym i że potrafię zgnieść każdego przeciwnika. Czas turnieju zresztą już nadszedł.

Plan Raula, — bo tak w dalszym ciągu nazywać będziemy naszego bohatera — plan Raula był niezmiernie prosty: pośród gęstwiny drzew przywierających do okalającego zamek muru, stała niska wieżyczka. Tutaj baron załatwiał swych dzierżawców, i tu jak domyślał się Raul,—miało się odbyć zebranie spiskowców. W jednej ze ścian wieży przebite

zostało niegdyś przejście; dziś napół zasypane gruzem i porośnięte bluszczem, było ono dostatecznie długie i wysokie aby pomieścić dorosłego mężczyznę. Stąd też postanowił Raul być świadkiem zebra-
nia; kryjówka jaką wybrał była doskonałą; usunąwszy nieco gruz, zasłaniający przejście, Raul doskonale widział całą salę a żadne słowo nie mogło ująć jego uszu.

Sala jaką miał przed sobą była dość obszerną; prócz wielkiego stołu, ławki kościelnej i dwudziestu krzesel — nie znajdowało się w niej nic.

Godzina upłynęła blisko jak Raul czekał w swej kryjówce i czas zaczął mu się już dłużyć, gdy drzwi prowadzące do sali otwarły się i wszedł stary baron w towarzystwie jednego ze swych przyjaciół.

Baron Godefrey d'Etigues był tęgim, muskularnym mężczyzną, o ceglasto czerwonej twarzy, okolonej gęstą brodą, o spojrzeniu twardem i przenikliwym. Towarzysz jego — znany Raulowi z widzenia — był to jego kuzyn, Oskar de Bennetot, sprawiający wrażenie ociężałego, gburowatego normandzkiego junkra. Obydwaj mężczyźni wydawali się bardzo podnieceni.

— Prędzej — dyrygował baron — La Beaupalien, Roleville i d'Auppargard zaraz nadejdą. O czwartej przybędzie Beaumagnan z księciem d'Arcole, a de Brie dostanie się tutaj przez ogród warzywny, którego bramę umyślnie pozostawiłem otwartą. Póź-

niej... później, gdy wszyscy się zbiorą przybędzie i ona“.

— O ile wogóle wpadnie nam w ręce — mruknął Bennetot.

— Czemu by wpaść nie miała? Wszystko obmyślone jest bez zarzutu. Obstalowała karete i kareta będzie czekać na nią. D'Ormont będzie woźnicą; w okolicy Quatre Chemins Rouxd:Estiers wskoczy do karety, obaj z d'Ormont'em zwiążą naszą damę i przyniosą ją tutaj. Ten plan musi się udać.

Rozmawiający stali tuż koło kryjówki Raula. Bennetot szepnął:

— A potem?

— Potem wyjaśnię zebranym całą sytuację i rolę jaką ta kobieta odgrywa w naszych sprawach.

— I myślisz że ją osadzą?

— Tak czy inaczej sprawa się wyjaśni. Beaumagnan nalega na to. Czy można mu odmówić?

— Boże — westchnął Bennetot — ten człowiek nas zgubi.

Baron d'Etigues zmarszczył brwi z wyrazem niezadowolenia.

— Tylko podobny jemu człowiek może walczyć z taką kobietą. Ty ze swej strony czyś przygotował wszystko?

— Obie łódki są w przystani. Mniejsza jest przedziurawiona i w dziesięć minut po zepchnięciu na wodę pójdzie na dno.

— Nie zapomniałeś jej obciążyć?

— Przygotowałem spory kamień, który przywiążemy liną.

Obaj umilkli na chwilę.

Raul słyszał każde słowo tej rozmowy, a w miarę jak słuchał ciekawość jego rosła.

— Do licha — pomyślał — nie odstąpię mojego miejsca za najbogatsze królestwo. Co za przyjemni jegomości! Rozmawiają o morderstwie jak o partji wista.

Zachowanie barona d'Etigues zdumiewało go najbardziej. Jak mogła delikatna, słodka Klara być córką tego człowieka? Jakie cele, jakie przyczyny kierowały nim w tej brudnej sprawie? Nienawiść, okrucieństwo, zemsta czy też pogoń za osobistą korzyścią? Raul próżno biedził się nad tem pytaniem.

Trzej nowi spiskowcy, których Raul znał również z widzenia jako stałych gości zamku, nadeszli niebawem. Najstarszy z nich, którego postawa i ruchy przypominały wojskowego, zatrzymał się w progu.

Wszyscy obecni powstali i zbliżyli się ku niemu, a Raul domyślił się iż on to właśnie musiał być autorem owego tajemniczego listu; on też był tym oczekiwany, którego obawiał się Bennetot, i którego baron nazwał Beaumagnanem.

Aczkolwiek w całym tem zebraniu on jeden nie posiadał ani tytułu ani nawet szlacheckiego nazwis-

ka, jednak witano go z oznakami widocznego szacunku i traktowano jako przywódcę. Z powagą, a zarazem i wielką pewnością siebie zbliżył się do przeznaczonego sobie miejsca, tłumacząc się iż nie mógł, niestety, przyprowadzić swego przyjaciela, dr. de Brie. Poczem, zwracając się do idącego za nim w milczeniu mężczyzny, przedstawił go zebrany.

— Książę d'Arcole... Wiadomo jest panom, nieprawdaż, że książę, choć nigdy dotychczas, nie uczestniczył w naszych zebraniach, jednak należał zawsze do naszego grona. Z oddali współpracował z nami i to bardzo wydatnie. Dzisiaj świadectwo jego będzie nam bardzo potrzebne, gdyż w roku 1870 książę zetknął się dwukrotnie z tą piekielnicą, która nam zagraża.

Raul poczuł się nieco rozczarowanym; „piekielnica“ znająca księcia przed dwudziestu-czterema laty musiała prawdopodobnie liczyć koło pięćdziesiątki, a on miał nadzieję ujrzeć młodą, może nawet piękną kobietę.

Książę zajął miejsce, a Beaumagnan, odciągawszy na bok barona rozpoczął z nim cichą lecz bardzo ożywioną rozmowę. Pan d'Etigues coś najwidoczniej przekładał, lecz Beaumagnan przerwał mu energicznym ruchem ręki. Potem odebrał odeń kopertę, zawierającą prawdopodobnie ów kompromitujący list.

—Piekielnica będzie utopioną — szepnął w duchu Raul — ten pan tak zdecydował, a dość spojrzeć nań aby widzieć że lubi postawić na swoim.

Beaumagnan tymczasem zwrócił się do obecnych z krótką przemową.

— Przyjaciele, wiecie wszyscy, jak ważną, brzemioną w skutki jest dla nas chwila obecna. Jesteśmy wszyscy złączeni dążeniem do jednego wspólnego celu, a temsamem i wspólną pracą. Podzielamy wszyscy to przekonanie iż dobro naszej ojczyzny, stronnictwa i religji — bo wszak te trzy pierwiastki złączone są ze sobą nierozdzielnie — dobro ich, powtarzam, zależy od powodzenia naszego planu. Ale od pewnego czasu spryt kobiety, którą tu dziś mamy sądzić, a która szuka rozwiązania tej samej co i my tajemnicy, krzyżuje wszystkie nasze plany. Ona albo my; wyboru niema, tak jak niema miejsca na świecie dla niej i dla nas. Jej powodzenie byłoby naszą zgubą. Pamiętajmy o tem i miejmy nadzieję, że walka tak bezlitośnie zaczęta, rozstrzygnie się na naszą korzyść.

Beaumagnan usiadł. Raul dojrzał, że oparłszy łokcie na poręczach fotelu zasłonił twarz dłońmi, i pochylił swą wysoką postać tak jakgdyby chciał się ukryć za plecami towarzyszy.

Upływały długie chwile, nikt się nie odzywał.

Uwaga wszystkich zwrócona była na najbliższy szmer, który dobiegał z zewnątrz; myśl ich

krażyła koło tej kobiety, która niebawem miała stanąć przed nimi.

Nagle baron podniósł rękę; z szosy dobiegał rytmiczny tentent kłusującego konia.

— Kareta — szepnął ktoś.

Godefroy d'Etigues zbliżył się do drzwi. Jak zwykle ogród był pusty, gdyż służba skupiała się zawsze na wielkim podwórzu, przy głównym wejściu do zamku.

Tentent się zbliżał, kareta zjechała z szosy w polną drogę, potem mignęła zdala w furtce wjazdowej i wjechała do parku. Woźnica dawał jakieś znaki, które stary baron dostrzegszy, zawołał:

— Zwycięstwo, wiozą ją!

Konie stanęły. d'Ormont zeskoczył z kozła i wraz z baronem d'Etigues pośpieszył ku karecie skąd Roux d'Estieres wynosił szczupłą, mocno związaną postać, której głowa obwinęta była gazowym szalem. We trzech zanieśli ją do sali i posadzili na kościelnej ławce.

— Wszystko poszło jak z płatka — opowiadał d'Ormont — najspokojniej wsiadła do karety na dworcu, nie mając widocznie najłżejszych podejrzeń. Związaliśmy ją i obezwładniliśmy zanim zdążyła wydać jakiś dźwięk.

— Zdejmcie ten szal — komenderował baron — i rozwiążcie ją.

Niecierpliwy jak zawsze, sam rozcinał sznury. Tymczasem d'Ormont odwinął szal, który zasłaniał twarz kobiety.

Uwięziona podniosła głowę — w tej samej chwili jeden ogromny okrzyk zdumienia wyrwał się z ust obecnych — kobieta, którą mieli przed sobą jaśniała urodą i blaskiem młodości.

Książę d'Arcole, który stał w pierwszym szeregu, nagle cofnął się i zasłaniając twarz rękoma, jęknął:

— To ona, poznaję ją... Ale Boże, jakież to potworne!

— Co to znaczy? Co jest potworne? — zapytał baron — co chcesz książę powiedzieć?

Zapytany zwrócił ku niemu głowę i wymówił z trudnością te zagadkowe słowa:

— Potworne... że nie zestarzała się ani o jeden dzień, ani o jedną godzinę. Jest równie młoda jak przed dwudziestu czterema laty!

Uwięziona siedziała wyprostowana, bez ruchu, z rękoma złożonymi na kolanach; kapelusz zsunął się jej z głowy, a bujne falujące włosy sływały niemal do kolan, podtrzymywane wspianiałym złoconym grzebieniem.

Pod nawałą tych włosów twarz jej wydała się Raulowi niezwykle piękną: było w niej coś tajemniczego i coś pociągającego nieprzeparcie, jakiś

uśmiech niedostrzegalny, a jednak wyczuwalny, uśmiech, który przypominał portrety Leonarda da Vinci i Bernardina Luini, a którego nie zdołało wypłoszyć nawet przerażenie. Strój jej był bardzo prosty; z pod poszarpanego, podróżnego płaszcza wyglądała szara, skromna suknia.

Ta piekielnica — pomyślał Raul, który nie spuszczał z niej oka — ta piekielnica jest doprawdy czarująca i wygląda jak uosobiona niewinność. Czyż doprawdy aż dziesięciu mężczyzn musiało się zebrać, aby pokonać, aby zgnębić jedną kobietę?

Spostrzegł, iż uwięziona rozgląda się uważnie po sali, przypatrując się zarazem ukradkiem baronowi i jego przyjaciółom, a przede wszystkim tym z pomiędzy nich, którzy starali się ukryć w cieniu.

Wreszcie zapytała:

— Co to wszystko znaczy? Czego panowie chcecie odemnie? W niczem wam nie zawiniłam i nawet nie znam żadnego z was.

— Jesteś pani naszym najgorszym wrogiem — odparł jej d'Étignes.

Wstrząsnęła głową i odparła z zupełnym spokojem:

— To jakieś nieporozumienie... pan mnie bierze za kogo innego. Nazwisko moje jest Pellegrini.

— To nieprawda — zaprzeczył baron.

— Zapewniam pana...

— *Nieprawda* — powtórzył dobitnie.

I zwracając się do obecnych wymówił z całą powagą słowa, które zabrzmiały dziwniej jeszcze niż uwaga księcia d'Arcole:

— Pellegrini to jedno z wielu imion, pod jakimi ukrywał się w XVIII wieku człowiek, którego córką ta pani się mianuje...

Nie odpowiedziała odrazu, była jakby oszołomiona tem co usłyszała, a czego zdawało się nie rozumieć. Wreszcie zagadnęła:

— Jakie jest według pana moje istotne nazwisko?

— Józefina Balsamo, hrabina Cagliostro.

Józefina Balsamo urodzona w 1788 roku.

Cagliostro! Imię człowieka, który, jak nierozwiązana zagadka zajął sobą całą Europę, i zeszedł z areny świata w sposób równie tajemniczy jak się na nią pojawił: Cagliostro... dwór Ludwika XIV... naszyjnik królowej... kardynał de Rohan... Marja Antonina...

Szarlatan czy genjusz? Kim był ten człowiek dla którego przyszłość ni przeszłość nie miała tajemnic, którego wiedza zwyciężała śmierć, a wola kierowała wypadkami? Nadnaturalną byłaż jego potęga czy tylko niezrozumiałość?

Raul d'Andrassy, młodzieniec trzeźwy, uśmiechnął się sceptycznie na te słowa barona; wszakże zebrani w sali wysłuchali ich bez zdziwienia tak jakgdyby byli przekonani, że kobieta, którą mieli przed sobą, była istotnie córką wielkiego maga, dziedziczką jego daru jasnowidzenia, a przez to jego potęgi.

Godefroy d'Etigues nachylił się do niej i spytał:

— Nieprawdaż, przyznajesz pani, że imię twoje jest Cagliostro?

Milczała, zdawała się namyślać nad odpowiedzią, tak jakgdyby chciała przeniknąć zamiary przeciwnika i tem skuteczniej się bronić. W końcu rzekła:

— Nie mam obowiązku tłumaczyć się panom, tak jak panowie nie macie najmniejszego prawa, aby mnie pytać. Temniemniej jednak (przyznaję, że aczkolwiek w metryce mojej figuruje nazwisko Pellegrini, to jednak naprawdę nazywam się Józefina Balsamo, hrabina Cagliostro, a to dlatego że oba te imiona — Pellegrini i Cagliostro — należały do tej samej, a mnie bardzo bliskiej osoby, do Józefa Balsamo.

— Czy jednak — zagadnął baron — zgodnie z tem co pani sama opowiadałaś o sobie, pochodzisz pani w prostej linii od niego?

Tym razem nie odpowiedziała. Był to może protest, a może zwykła ostrożność, dość że zmarszczyła brwi i odwróciła głowę.

— Może pani zachować milczenie — rzekł niechętnie baron — nie będziemy go sobie ani tak ani inaczej tłumaczyli, — poczem zwracając się do swych przyjaciół, ciągnął dalej — zeznania tej kobiety nie mają dla nas najmniejszego znaczenia. Zebraliśmy się tutaj aby ją osądzić i choć znamy wszyscy w zarysach całą sprawę, jednak zatrzymam się nieco nad szczegółami, które nie wszystkim są dokładnie znane. Pozwólcie zatem, moi przyjaciele, abym wam przeczytał krótkie memorandum przygotowane na dzisiejsze zebranie.

Z temi słowy wyjął z kieszeni plik papierów, i począł powoli odczytywać owe memorandum, ułożone — jak sądził Raul — przez Beaumagnan'a

„W marcu r. 1870, czyli na cztery miesiące przed wybuchem wojny prusko—francuskiej, jedną z najelegantszych, a pozornie najpopularniejszą osobą w towarzystwie paryskim, była hrabina Cagliostro. Niezwykle piękna, wytworna, bywała wszędzie sama, lub też w towarzystwie młodego człowieka, który, jak twierdziła, był jej bratem. Jej sposób życia, jej rozrzutność, a wreszcie nazwisko jakie nosiła, zwracało na nią powszechną uwagę. Zdawało się zresztą rozmyślnie podniecać ciekawość przez pewne półsłówka, przez swe zachowanie, przez kilka cudownie udanych kuracji. Było to w okresie gdy dzięki romansowi Dumas'a, „Józef Balsamo“ legendarna postać hrabiego Cagliostro zajmowała

umysły wszystkich. Pół serjo, pół żartem hrabina wspomniała iż jest córką Cagliostra, iż odziedziczyła po nim sekret wiecznej młodości, i opowiadała nieraz o przygodach swoich za czasów Napoleona Wielkiego.

Dzięki sprytowi swojemu, a poniekąd i majątkowi bywała na dworze cesarza Napoleona III; opowiadano nawet o tajnych zebraniach, na których cesarzowa Eugenia była jedną z najstalszych i najbardziej zapalonych uczestniczek. W numerze jednego z pism satyrycznych (naturalnie natychmiast skonfiskowanym) znajduje się opis takiego zebrania. Przytaczam jego urywek:

... Podobna była do Giocondy.

Twarz jej nie była ani ruchliwa ani zmienna, a jednak miała wyraz nieuchwytny. Perwersyjny a obojętny, okrutny a łagodny. Jest tyle goryczy w jej uśmiechu, tyle doświadczenia w jej spojrzeniu że chwilami ma się ochotę wierzyć w te 80 lat, do których się sama przyznaje. Od czasu do czasu wyciąga z kieszeni malutkie, złożone lustreczko, nalewa na jego tafle dwie kropelki z mójnaturowego flakonika, który nosi zawsze przy sobie, poczem wyciera lustro i długą chwilę przegląda się w nim. W miarę jak patrzy młodość coraz żywszym blaskiem bije z jej postaci.

Kiedyś, zagadnięta, w te słowa opowiedziała nam historję swego lusterka:

— Było ono własnością hr. Cagliostro. Dla ludzi, którzy spoglądają weń ze ślełą wiara, czas zatrzymuje swój bieg. Na ramce lusterka wyryta jest data, r. 1783 a pod nią znajdują się słowa czterech zagadek. Tych słynnych zagadek Cagliostora, które słyshał z ust Marji — Antoniny a które przez całe życie pragnał rozwiązać, legenda bowiem twierdzi że ten komu się to uda, będzie panem wszechświata.

— Czy można usłyszeć te zagadki- — spytał ktoś z obecnych.

— Oczywiście. Słyszeć nie znaczy bynajmniej rozumieć. Sam wielki Cagliostro nie zdołał czy nie zdażył tego uczynić. Powiem je panom tak jak są tu napisane t. j. w skróceniu:

In robore fortuna.

Kafle królów Czeskich.

Bogactwo królów Francji.

Siedmioramienny świecznik.*)

Później rozmawiała z każdym z nas i czyniła zdumiewające przepowiednie. Wszystko to jednak było zaledwie wstępem, do znacznie poważniejszej sceny, cesarzowa bowiem, która nie chciała postawić żadnego osobistego pytania, zdecydowała się zagadnąć jasnowidzącą w sprawach publicznej wagi.

*) Pierwszą z tych zagadek rozwiązała młoda dziewczyna (patrz tegoż autora „Dorota — tancerka“). Dwie następne Arsen Lupin („Wyspa umarłych“ i „Wydrażona igła“ tegoż autora). Ostatnia stanowi treść powieści niniejszej.

Hrabina podała jej swoje lusterko, prosząc aby Naj. Pani zechciała łaskawie chuchnąć na nie. A gdy cesarzowa spełniła jej prośbę, spojrzała na zamgloną taflę i wykrzyknęła:

Widzę cudne rzeczy!... wielką wojnę w lecie bieżącego roku... olśniewające zwycięstwo... wspinały przemarsz pod Łukiem Zwycięstwa.... witają cesarza,... księcia następcę....!!

— Oto jak brzmi — ciągnął Godefroy d'Etiques — dostarcza on nam dokument. Jest on tem ciekawszy że datuje na parę miesięcy przed wojną. Kim była ta kobieta, ta awanturница której przepowiednie musiały wywrzeć niemały wpływ na chwilowy umysł cesarzowej Eugenji, i przyczyniły się tem samem do katastrofy z roku 1870? — Aby rozstrzygnąć to pytanie odwołajmy się do tego samego numeru „Charivari“.

...zagadnięta kiedyś o swą matkę, hrabina odpowiedziała w następujący sposób: — Matka moja należała do najciekawszych, najbardziej znanych kobiet swojego stulecia. Była nią Józefina Beauharnais, żona Bonapartego, cesarzowa Francji.

Policja Napoleona III zainteresowała się osobą hrabiny. Urzędnik, któremu powierzono tę sprawę, złożył swym zwierzchnikom z końcem czerwca następujący raport:

„Włoski paszport rzeczonyj damy oplewa na nazwisko Józefiny Pellegrini — Balsamo, hrabiny

Cagliostro, urodzonej w Palermo, dnia 29 lipca 1788 r. Istotnie księgi metryczne miasta Palermo notują pod tą datą narodziny Józefiny Balsamo, córki Józefa Balsamo i Józefiny de P. poddanej króla francuskiego.

Czy inicjały te oznaczały istotnie Józefinę Tasher de la Pagerie, rozwiedziona żonę wicehrabiego de Beauharnais i późniejszą małżonkę generała Bonapartego? Faktu tego nie udało się z całą pewnością ustalić, jednak dzięki usilnym poszukiwaniom w tym kierunku, natrafiono na list jednego z urzędników prefektury paryskiej, skąd dowiedziano się iż w r. 1788 policja poszukiwała niejakiego Cagliostro. Człowiek ten, wmieszany w głośną sprawę naszyjnika, otrzymał rozkaz opuszczenia Francji; mimo to pod imieniem Pellegrini, ukrywał się przez niejaki czas w drugorzędnym hotelu w Fontainebleau, gdzie go codziennie odwiedzała jakaś wysoka i smukła dama. Józefina Beauharnais zamieszkiwała wówczas Fontainebleau; była smukłą i wysoką. Cagliostro znikł bez śladu tego samego dnia, w którym policja, wykrywszy jego kryjówkę, miała go aresztować. Józefina Beauharnais opuściła Fontainebleau dnia następnego. W miesiąc później Józefina Balsamo przyszła na świat w Palermo.

Dla uzupełnienia tych poszczególnych faktów dodajmy jeszcze że w osiemnaście lat później cesarzowa Józefina wprowadziła do Malmaison młodą

pannę, swoją rzekomo chrześniaczkę, której imię było Józefina, lub w skróceniu Jozyna.

Po upadku pierwszego cesarstwa Aleksander I zainteresował się ową Josyną i zabrał ją do Rosji. Występowała tam ona jako hrabina Cagliostro!

Baron Godefroy skończył i starannie złożył papiery. Wśród zebranych, którzy go słuchali z namiętną uwagą, zapanowało długie milczenie, a Raul, zupełnie oszołomiony wszystkiem co widział i słyszał, starał się odszukać na twarzy hrabiny śladów podniecenia lub przestachu. Napróżno jednak: młoda kobieta była zupełnie spokojna, a piękne jej oczy błyszczały wesołością.

Baron jednak nie skończył; obrzuciwszy zebranych bystrym spojrzeniem po chwili tak ciągnął dalej:

— Przytoczony tu raport, a także niepożądany wpływ jaki hrabina wywierała u dworu, miał dla niej skutki fatalne. Oboje z bratem otrzymali rozkaz opuszczenia Francji; on wyjechał do Niemiec, a ona do Włoszech. I oto pewnego poranka wysiadła z pociągu, na małej stacji Modana, w towarzystwie oficera, który ją eskortował. Oficerem tym był książę d'Arcole. On to dostarczył nam oba czytane przed chwilą dokumenta: numer „Charivari“ wraz z kopją raportu, którego oryginał znajduje się w jego posiadaniu. On to również przed chwilą stwier-

dził głośno tożsamość osoby, którą mamy przed sobą z ową hrabiną Cagliostro.

Książę d'Arcole powstał i oświadczył:

— Nie wierzę w żadne cuda. A jednak jestem dziś świadkiem niemal cudu. Na mój honor żołnierski zeznaję bowiem raz jeszcze że tu obecna kobieta jest tą samą, z którą rozstałem się na dworcu w Modana przed dwudziestu czterema laty.

— Z którą się pan rozstał tak po prostu, bez żadnych komentarzy? — spytała nagle Józefina Balsamo.

W wesołym jej głosie drżała jakaś nuta ironji, która stropiła księcia.

— Co pani chce przez to powiedzieć? — zagadnął.

— Chcę poprostu powiedzieć iż oficer francuski jest zbyt eleganckim aby mógł się rozstać z młodą, przystojną kobietą bez jednego cieplejszego słowa.

— Być może — mruknął sucho książę — w każdym razie nie pamiętam.

— Nie przypomina pan sobie wcale że ucałował pan rękę wygnanki nieco dłużej niżeli tego wymagała etykieta i że powiedział pan na pożegnanie: „mam nadzieję, droga hrabino, że to spotkanie nasze nie jest ostatniem. Niech pani sobie pozwoli powiedzieć, że zachowam zawsze w pamięci te, niestety zbyt krót-

kie chwile, które danem mi było spędzić z nią razem“ i pochylając się ku niej powtórzył pan raz jeszcze: nie zapomnę ich nigdy ,przenigdy.

Zdumiony dosłownym opisem sceny, które miało miejsce przed ćwierćwieczem, książę wykrzyknął mimowoli:

— Wielki Boże! — ale odzyskując natychmiast panowanie nad sobą, odparł zimno:

— Nie pamiętam nic z tego, łaskawa pani, w każdym razie pozwolę sobie zauważyć, że jeśli nawet wspomnienia wspólnej naszej podróży były dla mnie tak miłe, to nasze drugie spotkanie zatarło w zupełności to wrażenie.

— A drugie to spotkanie miało miejsce?

— Podczas pertraktacji pokojowych, łaskawa pani, w początkach roku następnego, w Wersalu, dokąd się udałem jako jeden z członków delegacji francuskiej. Spotkałem panią w jakiejś kawiarni w towarzystwie jednego z adjutantów Bismarka. Śmiała się pani do niego i rozmawiała z nim poufale. Zrozumiałem wówczas jaką rolę odgrywała pani swego czasu na dworze francuskim i z czyjzego polecenia czyniła to pani.

Cała ta scena, rozwijająca się z ogromną szybkością, nie trwała dłużej nad dziesięć minut. Nie przytoczono, żadnych rzeczowych dowodów i nie spytano jeszcze oskarżonej co ma na swoje uspra-

wiedliwienie; operowano dotychczas gołymi faktami, które wydawały się tembardziej bezpodstawne, że przypominano kobiecie zupełnie młodej wypadki zaszłe przeszło sto lat temu.

Raul d'Andressy zaledwie wierzył swym uszom i oczom; to czego był świadkiem wydawało mu się niemal wytworem chorobliwej jakiejś fantazji, baron i jego przyjaciele przesuwali się przed nim jako widma, lub jak ludzie, pozbawieni zmysłów. Nie rozumiał przedewszystkiem jak mogli tak się mylić co do wieku uwięzionej kobiety. Czyżby nie mieli oczu?

Ale zachowanie hrabiny Cagliostro wydało mu się jeszcze dziwniejszem, co miało znaczyć to milczenie, lub słowa które były poniekąd potwierdzeniem stawianych jej zarzutów?

Godefroy d'Etigues znów zabrał głos.

— Taką była przeszłość — rzekł — nie będę się dłużej zatrzymywał nad historją tych dwudziestu czterech lat, które dziełą rok 1870 od dnia dzisiejszego, wspomnę tylko że za kulisami każdej głośnej sprawy znajdowała się zawsze ona, hrabina Cagliostro. Brała udział w ruchu boulangyste'ów, i w panamskiej malwersacji; była wszędzie tam gdzie knuło się coś brudnego, lub coś szkodliwego dla naszej ojczyzny. Mógłbym przytoczyć tu nie jeden przykład, ponieważ jednak nie posiadam rzeczowych dowodów, wolę więc przejść odrazu do chwili obecnej. Przedtem jednak zapytuję panią czy może pa-

ni zaprzeczyć czemukolwiek z tego co tu zostało powiedzianem?

— Owszem, mój panie.

— A więc słuchamy.

Młoda kobieta zwróciła się do zebranych, przemawiając zawsze tym samym, spokojnym, zlekka drwiącym tonem:

— Ponieważ panowie, jak się zdaje czynią tu nademną jakiś średniowieczny sąd, chciałabym się więc dowiedzieć jakie znaczenie przypisujecie panowie zarzuconym mi winom? Według bowiem pojęć średniowiecznych jestem kacerką, czarownicą a w dodatku szpiegiem. Powinnabym ni mniej ni więcej jak być spaloną żywcem na stosie. Proszę mi więc wybaczyć moją ciekawość i objaśnić łaskawie co za los mnie czeka za moje przestępstwa?

— Myli się pani — odparł baron d'Etigues z niczem niezamąconą powagą — myli się pani; o przestępstwach nie było jeszcze mowy. To wszystko co było powiedzianem dotychczas miało jedynie na celu rzucenie pewnego światła na osobę pani, dania pojęcia tu zebrany kim i czem pani jest.

— I sądzi pan że to się panu udało?

— Z mojego punktu widzenia — tak.

— Pański punkt widzenia musi być bardzo skromny. Jakież pozytywny rezultat osiągnął pan swoja, nieco długą przemową?

Rezultat potrójny, szanowna pani. Przedewszystkiem świadectwo osób które panią poznały, świadectwo przenoszące (wybaczy pani) datę urodzin pani w czasy nieco odległe. Wreszcie pani własne zeznania.

— Moje zeznania?

— Przed chwilą przytoczyła pani księciu Arcole słowa które wypowiedział do niej na stacji w Modena w roku 1870.

— Istotnie, ma pan słusność. Cóż dalej?

— Dalej oto trzy podobizny pani, nieprawdaż? — i przy tych słowach podał jej trzy portrety.

Hrabina rzuciła na nie okiem i oświadczyła krótko:

— Tak jest, prawda.

— Cieszy mię że pani to przyznaje ciągnął d'Etigues—otóż muszę pani zakomunikować, że pierwszy z tych portretów to minjatura Jozyny Cagliostro, malowana w Moskwie w roku 1816, drugi — to dagerotyp hrabiny Cagliostro z roku 1870, a ostatni — fotografia pani, zrobiona niedawno w Paryżu. Wszędzie nawet ten sam podpis, ten sam charakter pisma.

— Ale czegoż to dowodzi?

— Dowodzi że ta sama kobieta....

— Że ta sama kobieta — przerwała hrabina — potrafiła zachować w r. 1894 i w 1870 świeżość i uro-

dę jaką posiadała w 1816. Istotnie, co za straszne przestępstwo!

— Niech się pani nie śmieje, łaskawa pani, śmiech w naszym towarzystwie nie jest rzeczą zdrową.

Przestała się śmiać, spoważniała nagle i jakby tracąc dotychczasowy swój spokój, uderzyła ręką o poręcz ławki.

— Dosyć tej komedji — rzekła — chcę wiedzieć nareszcie jakim prawem ściągnęliście mnie tutaj? I czego chcecie odemnie?

— Chcemy ukarać panią za popełnione zbrodnie.

— Jakie zbrodnie?

Godefroy d'Etigues spojrział na przyjaciół a potem przeniósł wzrok na oskarżoną.

— Niedawno jeszcze — rzekł — było nas dwunastu. Dwunastu towarzyszy dążących do jednego celu. Dziś pozostało nas dziewięciu. Ubyło trzech z pośród nas — i tych trzech pani zabiła.

Cień jakiś, jak przelotna chmura, przesłonił na chwilę uśmiech Giocondy. Ale prawie natychmiast twarz jej przybrała zwykły, napół obojętny a napół drwiący wyraz. Zdawało się, że nawet to ohydne obwinienie nie mogło jej dosięgnąć; może uczucie gniewu lub oburzenia było jej obce, a może umiała tak panować nad sobą by się nie zdradzić najłżejszym drgnieniem powiek.

Przyjaciele barona nie odzywali się ani jednym słowem; twarze ich były zimne, jakby skamieniałe. W najciemniejszym kącie, ukryty za ich plecami, niedostrzegalny dla oskarżonej, siedział Beaumagnan. Łokcie miał oparte na poręczy krzesła a twarz ukrytą w dłoniach, ale pomiędzy palcami tych dłoni jak dwa płomienie błyszcząły jego oczy, utkwione w twarzy hrabiny.

Baron d'Etigues odczytał trzy punkty strasznego obwinienia.

„Przed półtora rokiem zginął tragiczną śmiercią przyjaciel nasz, Denis de Saint Hébert; przebywał on podówczas w dobrach swych, w okolicach Hawru; pewnego popołudnia udał się na polowanie w towarzystwie swego plenipotentą i jednego z dzierżawców; po jakimś czasie rozstał się z nim aby wspiąć się na wysoką i stromą skałę, skąd, jak twierdził, chciał podziwiać zachód słońca. Nie wrócił do domu ani wieczorem, ani w nocy. Następnego ranka znaleziono jego trupa u stóp skały. Śmierć jego przypisano nieszczęśliwemu przypadkowi; ani chwili bowiem nie podejrzewano nikogo o mordestwo, a nie było podstaw sądzić że S. Hebert popełnił samobójstwo: był to człowiek zdrowy, bogaty i usposobienia niezwykle wesołego.

W parę miesięcy później zginął w podobny sposób drugi z pośród nas: Jerzy d'Iseval. Polując na mewy w okolicach Dieppe, poślizgnął się o mokre

skały padł i rozstrzaskał sobie czaszkę. Pozostawił żonę i dwoje dzieci.

I to nieszczęście złożono na karb wypadku. Uwierzyła w to wdowa, sieroty i rodzina, myśmy jednak uwierzyć nie mogli. Los, który z dwunastu przyjaciół, złączonych posiadaniem wielkiej tajemnicy i dążeniem do wspólnego celu, — zabiera w krótkim czasie dwóch, — los taki jest zbyt wyrachowanym i nie może być ślepy.

Książę d'Arcole otworzył nam oczy; domyślał się że nie tylko my wyłącznie jesteśmy w posiadaniu wielkiej tajemnicy. Ongiś, na posiedzeniach u cesarzowej Eugenji, ułożono listę czterech zagadek które pozostawił swym następcom Cagliostro. Jedna z nich, a mianowicie zagadka o siedmioramiennym świeczniku interesowała prócz nas i inne jeszcze osoby. Pomiedzy nimi, jak trafnie rozumował książę d'Arcole, zalecił szukać sprawców nieszczęścia.

Rozpoczęliśmy więc usilne poszukiwania, które niebawem uwieńczyły się pomyślnym skutkiem. Dowiedzieliśmy się iż na jednej z ulic Paryża, zamieszkuje niejaka pani Pellegrini. Jest to kobieta piękna i młoda, która mimo to jednak prowadzi życie nader odosobnione. Wśród zwolenników okultyzmu i magji znana jest dobrze pod nazwiskiem hrabiny Cagliostro. Zdaje się nie posiadać żadnej rodziny; nieraz na długo znika z Paryża.

Udało nam się zdobyć jej fotografię. Fotografję tę posłaliśmy księciu d'Arcole, bawiącemu wówczas w Hiszpanji, a on ze zdumieniem rozpoznał z niej ową podejrzaną damę z r. 1870.

Bliższe śledztwo wykazało iż w dniu śmierci Saint-Heberta owa pani Pellegrini znajdowała się w pobliżu Hawru; gdy zginął Iseval bawiła w Dieppe.

Wybadałem rodziny zmarłych. Żona Iseval'a zwierzyła mi się iż mąż jej miał w ostatnich miesiącach swego życia romans z jakąś kobietą, której wpływowi bardzo ulegał. Stosunek ten, jak twierdziła, ogromnie go przygnębiał. Z papierów, które zostały po Saint-Hebert'cie, przekonałem się że prowadził on rodzaj pamiętnika w którym miał nieostrożność opisywać nasze zebrania. Notatki te zostały mu skradzione przez jakąś kobietę.

Dzięki tym odkryciom sprawa stała się dla nas jasną. Tajemnicza mieszkanka Paryża, członkini związków okultystycznych, pani Pellegrini czy też hrabina Cagliostro, posiadłszy, jako kochanka Saint-Hebert'a część naszej tajemnicy, potrafiła pozyskać miłość d'Isevala, a potem, lękając się by któryś z nich, nie zdradził jej przed nami, — pozbawiła życia obydwu. Ta kobieta, ta morderczyni — stoi dzisiaj przed wami.

Godefroy d'Etigues znów umilkł i znów wrażenie wywołane jego słowami było tak wielkie że nikt nie przerywał ciszy. Twarze zebranych sędziów zda-

wały się jakby zastygłe w wyrazie zimnej zawziętości; wśród nich wszystkich tylko hrabina Cagliostro zachowała swój obojętny spokój, tak jakby nic z tego co zostało powiedzianem nie doszło jej uszu.

Ze swej kryjówki Raul d'Andrassy podziwiał urodę i zimną krew młodej kobiety. A jednak zarzucano jej ciężkie przewiny; w oczach swych wrogów, w których władzy znajdowało się całkowicie, mogła czytać jasno, że wyrok na nią nie będzie łaśkawy.

Baron d'Etigues znów zabrał głos.

— Czy mam mówić i o trzecim pani przestępstwie? — zapytał.

— Jak pan sobie życzy — odparła, głosem napół znudzonym a napół zmęczonym — jedno więcej, jedno mniej.... wszak i tak mówi pan ciągle o osobach których nie znam, o rzeczach których nie rozumiem.

— Więc nie znała pani ani Iseval'a, ani Saint-Hebert'a?

Zmarszczyła zlekka brwi, nie dając żadnej odpowiedzi.

Wówczas Godefroy d'Etigues nachylił się ku niej i spytał półgłosem:

— A Beaumagnan? Czy i jego pani nie znała?

Powieki jej zlekka drgnęły; spytała machinalnie:

— Beaumagnan?

— Tak, Beaumagnan, trzeci z pośród nas którego pani zabiła... niedawno, łaskawa pani, niechże sobie pani przypomni... zupełnie niedawno. Został otruty przed kilku tygodniami“.

SĄD INKWIZYCJI.

Nie rozumiejąc coby mogło oznaczać to nowe obwinienie Raul spojrział w stronę Beaumagnan'a. Nie siedział on już z twarzą ukrytą w dłoniach, lecz powstawszy, napół zgarbiony by tem łatwiej się ukryć, przekradał się za plecami swych towarzyszy ku Józefinie Balsamo. Ta zaś zajęta słowami barona, nie uważała co się wokół niej działo.

Raul natomiast zrozumiał odrazu jaką straszną pułapkę zgotowano młodej kobiecie i całą siłą musiał panować nad sobą by jej nie ostrzec jakimś okrzykiem lub znakiem: jeżeli bowiem istotnie miała zamiar otruć Beaumagn'ana, jeżeli sądziła że zamiar ten jej się powiódł — jakież okropne czekało ją wrażenie na widok swej ofiary żywej, stojącej przed nią.

— Jeżeli się nie przerazi — myślał Raul — będzie to dowodem iż jest niewinną — i czuł iż zainteresowanie jego hrabiną Cagliostro rośnie z każdą chwilą.

Tymczasem baron prowadził dalej swoje śledztwo:

— Więc wypiera się pani i tego przestępstwa? Uważa pani zarzuty moje za niesłuszne? — pytał, Zmarszczyła brwi po raz drugi, tym razem z lekkim wyrazem zniecierpliwienia.

— Nie знаła pani Beaumagnan'a — wypytywał baron coraz natarczywiej — proszę niechże mi pani coś odpowie. Niech nas pani zaszczyci jakimkolwiek słowem.

Nie odpowiedziała, ale jakiś niepokój odbił się w jej olimpijskim, niemal wesołym dotychczas uśmiechu. Jak osaczone zwierzę, które czuje że ostatnia jego chwila się zbliża, poczęła rozglądać się wokół.

Spojrzenie jej pobiegło do Godfroyd'a d'Etigues ku panu de la Beaupaliere: od niego do Oskara Benetot, aż wreszcie zatrzymało się na Beaumagnan'ie.

Twarz jej zbladła i skurczyła się, jakby na widok widma, wyciągnęła ręce przed siebie, jakby do obrony i szepnęła:

„Beaumagnan!...“

Zdawało się że ulegnie, że padnie na kolana przed tymi ludźmi, którzy mianowali się jej sędzia-

mi, i, wyznając swoje przewinienia, błagać będzie łaski. Beaumagnan czekał na to; wyprostowany, z zaciśniętymi pięściami, wpatrywał się w nią palającym z gniewu wzrokiem, tak jakby chciał tem spojrzeniem pozbawić ją resztki sił, złamać i upokorzyć.

Ale nie było to łatwe zadanie. Przestrach Józefiny Balsamo nie trwał dłużej nad kilkanaście sekund. Twarz jej przybrała znów dawny swój uśmiechnięty wyraz zupełnie naturalnym, niemal radosnym głosem, postawiła pytanie, którego logika i spokój mimowoli trafiały do przekonania:

— Jakże mnie pan przestraszył, panie Beaumagnan! Czytałam w gazetach o pańskiej nagłej śmierci. Ale czemu to przyjaciele pańscy chcieli mnie zwiędzić?

Raul zrozumiał w tej chwili iż to co się działo dotychczas było zaledwie nic nieznaczącym prologiem, że wielka, prawdziwa, nieubłagana walka zaczęła się dopiero teraz, gdy dwaj przeciwnicy, dwaj zaciepli wrogowie znaleźli się przed sobą.

Beaumagnan rozpoczął atak; dalekie od chłodnego spokoju, od gryzącej ironji barona słowa jego płynęły jak potok lawy, wezbrane nienawiścią i wściekłością.

— „Kłamstwo! — wołał — kobieta ta żyje kłamstwem, oddycha niem, sieje wokół siebie zbrodnie i przewrotność! Ileż brudu, metów i okrucień-

stwa kryje się za tym jej wiecznym uśmiechem. Gadzina, żmija, tchnąca jadem.

Było coś dzikiego, coś średniowiecznego w tym jego ataku; coś z mnicha znęcającego się nad ofiarą, która za chwilę ma posłać na stos. Głos jego chrypiał ze wzburzenia, ruchy jego były gwałtowne, cała twarz płonęła.

— Niech się pan uspokoi, panie Beaumagnan!— zwróciła się doń hrabina z łagodnością, która zakrawała niemal na obelgę.

Widać było że starał się zapanować nad sobą; przez chwilę umilkł jakby chcąc zdusić dławiącą go wściekłość, mimo to jednak, gdy mówić znów zaczął, słowa tak żywo, tak gwałtownie wyrwały się z jego ust, że zebrani z trudnością zrozumieć mogli treść spowiedzi, z którą zwrócił się do nich.

I ja po śmierci Iseval'a czyniłem poszukiwania. Czułem instyktownie że nie skończy się na tych dwu ofiarach... i zarazem zdawałem sobie sprawę że na mnie to, zwróci się złość tej czarownicy. Wszak znać musiała wszystkie moje zamierzenia... niemal moje myśli... Było to w czasie gdy nosiłem się z zamiarem przywdziania szat kapłańskich.

Byłem więc opancerzony przeciw złemu, broniony mocą mojej wiary.

Umyśliłem jednej nocy udać się na zebranie spirytystów, w nadziei spotkania tam tej piekielnicy.

Nie myliłem się. Była tam istotnie. I przysięgam na wszystko co jest świętem, iż nikt nie potrzebował mi jej wskazać. Wiedziony przecuciem czy instyktem odgadłem natychmiast, że to ona. Obserwowałem ją. Nie rozmawiała prawie z nikim, przysłuchując się i przyglądając wszystkiemu i paląc bezustannie papierosy.

Przyjaciel, który mnie wprowadził, usiadł obok niej i rozpoczął rozmowę z tymi co ją otaczali. Po chwili, tak jakeśmy się umówili, zwrócił się do mnie i głośno zawołał mnie po imieniu.

Ujrzałem wówczas jak oczy jej zabłyśły. Imię moje znać musiała, czytała je w pamiętniku Saint Heberta, słyszała może z ust Iseval'a. Byłem wtajemniczonym, jednym z pozostałych dziesięciu. Po paru chwilach zwróciła się do mnie i rozpoczęła ze mną rozmowę. Mówiliśmy przez dwie godziny. Dwie godziny, przyjaciele, czarowała mnie całą potęgą swej urody, swego dowcipu i wymogła na mnie obietnicę że odwiedzę ją nazajutrz.

W chwili gdy jej to obiecałem, w momencie gdy przestępował próg jej domu, powinienem był ratować się, uciec od niej na drugą choćby półkulę. Ale już było zapóźno. Nie miałem sił aby się bronić. Łudziłem się oczywiście sam przed sobą. Wmawiałem sobie że spełniam obowiązek, iż daję dowód odwagi zapuszczając się aż do obozu wroga. W rze-

czywistości jednak z chwilą gdym do niej przemówił byłem przekonany o jej niewinności. Jej uśmiech, jej uroda zdawały mi się obrazem czystej i pięknej duszy.

Nie powstrzymało mnie ani wspomnienie naszych dwóch zmarłych przyjaciół, ani wiara moja, ani moje powołanie. Nie chciałem nic wiedzieć, nie mogłem myśleć. Przez kilka miesięcy oddawałem się bez wstydu zakazanym radościom, wyuzdanym rokoszom.

Byłem człowiekiem silnym, oddanym i wierzącym. W objęciach tej kobiety zapomniałem o moim celu, porzuciłem swoje obowiązki i zaparłem się swojej wiary. Popeliłem jednak coś gorszego jeszcze, coś do czego z największym wstydem dziś przed wami muszę się przyznać: zdradziłem was, i siebie, złamałem przysięgę milczenia któreśmy wszyscy złożyli. *Kobieta, którą macie przed sobą, posiadała odemnie całą naszą tajemnicę.*

Szmer oburzenia i zdumienia przebiegł po zebranych. Beaumagnan spuścił głowę.

Teraz zrozumiał Raul cały dramat, jaki rozgrywał się przed jego oczyma. Ludzie ci stanowili ściśle bractwo, bractwo, którego Beaumagnan był duchem. Miał on w sobie coś z proroka, coś z fanatyka, którego porywa za sobą, bez względu na to czy tworzy czy burzy.

W XV wieku byłby inkwizytorem; mógłby bez żalu, bez wahania posłać na stos, lub skazywać na ćwiartowanie. W XII porzuciłby swój zamek i z radością udałby się w pochód krzyżowy, dziś kierował tą drobną grupą swych przyjaciół; narzucił im swoje myśli i plany, skłonił ich do uroczystej przysięgi, — wszystko aby zapewnić powodzenie dziełu, które sam zdradził i zniszczył.

Musiał to być człowiek ambitny a nawet próżny, przyzwyczajony dążyć bezwzględnie do swojego celu. Zatrzymany na swej drodze przez kobietę i to kobietę, którą kochał, postanowił że musi ona umrzeć, a sam otwartym wyznaniem swych win, zmniejszył poniekąd ich ciężar.

Wyznaniem tym jakgdyby uspokojony, ciągnął dalej bez poprzedniej wściekłości i już znacznie wolniej:

—Nie umiem powiedzieć co było przyczyną mojego upadku. Nie byłem bowiem nigdy człowiekiem słabym a tu nie mogę nawet przytoczyć na wytłomaczenie aby kobieta ta wypytywała mnie o co. Przeciwnie, ja sam wyznałem jej słowo po słowie, wszystko to cośmy strzegli tak zazdrośnie. Nie rozumiem także czemu to uczyniłem i chciałem widzieć w jej oczach błysk zadowolenia, łudziłem się że stanę się jej droższym. Jak szaleniec wmawiałem sobie że będzie ona naszą sojuszniczką, że jej dar jasnowidze-

nia, potęga jej umysłu będzie dla nas nielada nabytkiem.

Im głębszy był sen, tem przykrzejszem było przebudzenie. Nastąpiło ono nagle, mniejwięcej trzy tygodnie temu. Wybierałem się wówczas do Hiszpanji. Ponieważ w dzień mego wyjazdu byłem bardzo zajęty, pożegnałem się więc z moją kochanką rano, a popołudniu złożywszy walizki, wyszedłem jeszcze z domu, dokąd miałem zamiar powrócić dopiero przed wieczorem, na krótko przed godziną odejścia pociągu. Na mieście jednak przypomniałem sobie iż nie wydałem służącemu bardzo ważnych zleceń i zmuszony byłem wrócić. Nie wszedłem jednak głównym wejściem lecz schodami służbowymi. Służący mój był nieobecny, a drzwi od kuchni zastałem otwarte. Z sypialni mojej dobiegł mnie jakiś szmer. Zdziwiony tem zbliżyłem się na palcach i przez w pół uchylone drzwi, w wiszącym naprzeciw mnie lustrze dostrzegłem — ją. Klęczała nad moją walizką, w której zdawało się czegoś szukać; jakoż po chwili wydostała pudełko, w którym przechowuję proszki na bezsenność, i wyjąwszy stamtąd jeden proszek, włożyła zamiast niego jakiś inny.

Byłem tak podniecony iż nie wiedziałem co czynić : rzucić się na nią czy podejść i zapytać co miało znaczyć jej postępowanie? Zanim zdołałem ochłonąć — znikła mi z oczu.

Nie wyjechałem. Aptekarz bowiem, któremu zaniósłem wszystkie proszki do analizy, znalazł w jednym z nich śmiertelną truciznę.

Miałem więc niezbity dowód. Zwierzyłem się z tajemnicy i przestałem być potrzebny. Byłem zbędnym świadkiem, żenującym współnikiem, któren z czasem mógłby zażądać części zdobyczy. Postanowiono mnie zgładzić. Tak jak Saint Herbert'a i d'Iseval'a.

Napisałem niezwłocznie do jednego z mych przyjaciół w Hiszpanji, a w kilka dni potem gazety doniosły o śmierci niejakiego Beaumagnan'a w Madrycie

Od tej chwili, ukrywając się przed oczyma wszystkich, śledziłem tę kobietę bezustannie. Z początku wyjechała do Rouen, stamtąd do Hawru później do Dieppe. tj. wszędzie tam gdzie prowadzimy poszukiwania. Z moich własnych ust dowiedziała się że w okolicy Dieppe, zaczęliśmy rozkopywać ziemię w starym klasztorze, więc udała się tam i na tym pustkowiu spędziła cały dzień. Straciłem ją na jakiś czas z oczu aby w Rouen znów ją odnaleść. Przyjaciel nasz d'Etigues opowiedział wam resztę. Wiecie więc jaką zastawiliśmy na nią pułapkę, ogłosiliśmy w gazetach iż pewien włościanin natrafił na swym polu na siedmioramienny świecznik, i jak, uwierzywszy temu, wpadła w nasze ręce.

Macie ją przed sobą. Wiecie kim jest, co zrobiła i czem nam grozi. Wiecie również iż nie możemy oddać jej w ręce sprawiedliwości gdyż rozgłos jaki wynikłby z tego, pogrzebałby raz na zawsze całą naszą sprawę. Musimy więc osądzić ją sami. Osądzić bez nienawiści ale z całą surowością.

Beaumagnan zakończył swoją przemowę z powagą, która wywarła na słuchających stokroć silniejsze wrażenie niż poprzednia jego gwałtowność. Nie wyglądał już na człowieka który się mści, lecz na sędziego, który oskarża osobę istotnie występłą. Raul d'Andrassy nie wiedział już komu wierzyć ani co o tem myśleć; czuł tylko iż z całej duszy nienawidził człowieka, który, stojąc tam na środku sali, wyznawał głośno iż był kochankiem tej kobiety.

Hrabina Cagliostro podniosła się i spojrzała prosto w oczy swemu przeciwnikowi. Uśmiech jej stał się pogardliwy.

—A więc to co się tu odbywa jest zwykłym, choć pełnym ceremonji, morderstwem?

—Nie, jest tylko sądem, którego wyda surowy lecz temniemniej sprawiedliwy wyrok.

—Jakie macie prawo sądzić i wyrokować? Na to są jawne, zwykłe sądy i ludzie ustanowieni do tego. Cóż mnie to obchodzi że dla jakiś waszych ciemnych celów obawiacie się rozgłosu. Żądam abyście mi natychmiast zwrócili swobodę.

— Po to chyba aby nas pani znów zabijała jednego po drugim. O nie, jesteś pani w naszym ręku i musisz poddać się naszemu wyrokowi.

— Będzie to najwyżej gwałt, jeżeli bowiem między wami znajduje się choć jeden człowiek, mogący zdobyć się już nie na bezstronność ale na zdrowy rozsądek, — to nie może się nie śmiać z waszych bezpodstawnych obwinień, z waszych bezsensownych dowodzeń!

— Niech więc nam pani dowiedzie że się mylimy, że pani jest niewinną.

— W jakim celu mam się bronić? Postanowienie wasze jest powzięte z góry.

— Jest powzięte gdyż mamy dowody pani winy.

— Jestem winną, owszem, ale mam powiedzieć na czem polega moja zbrodnia? — Oto na tem że dążę do tego samego co i wy celu. Dlatego wytoczył mi pan sprawę, dlatego mnie pan prześladowa i ohydnie mnie pan oczernił. Po co mi pan mówił o swych tajemnicach? Nie prosiłam pana o to. Znam zagadkę Cagliostro, bo dowiedziałam się o niej z jego papierów. Nie potrzebowałam pańskich wyznań, sama dążę do jej rozwiązania i znajdę je wbrew wszystkim przeszkodom. Pan wie o tem i dlatego chce mnie pan zamordować.

Beaumagnan, który znów zaczął tracić panowanie nad sobą, wykrzyknął:

— Ależ to pani mordowała naszych przyjaciół i mnie pani chciała zamordować a teraz udaje pani niewinną!

— Nie zabiłam nikogo, to nieprawda — zaprzeczyła.

— Wie pani również dobrze jak ja że to pani zepchnęła ze skały Saint Hebert'a i Iseval'a.

— Nie znałam tych ludzi. Po raz pierwszy w życiu słyszę ich imiona.

— A ja? — zawołał — czy mnie pani również nie znała? Nie chciała mnie pani otruć?

— Nie -- odparła, z niezamaconym spokojem.

Oburzenie jego wzrosło do tego stopnia że zapomniał gdzie się znajduje i przed kim mówi.

— Józefino — zawołał — nie zapieraj się! Widziałem cię tak, jak cię teraz widzę! Kładłaś truciznę do pudełka, śmiejąc się tym wiecznym twoim, na wpół obojętnym na wpół drwiącym śmiechem... widziałem Cię!

Potrząsnęła głową i odparła z całym spokojem:

— Nie, to nie mogłam być ja.

Oburzony tak bezczelnem zaprzeczeniem Beaumagnam stracił głos; chciał przemówić i nie mógł, naprzemian to bladł to czerwieniał. Nie tra-

ćąc ani na chwilę swego spokoju, hrabina Cagliostro położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

— Nienawiść zaślepia pana, panie Beaumagnan i odbiera panu możność myślenia. Czy pozwoli mi pan jednak powiedzieć parę słów na swoją obronę?

— Niech pani mówi. Słuchamy. Ale na miłość Bożą, niech się pani pospieszy.

— Pospieszę się. Nie mam wiele do powiedzenia. Ale niech pan wprzód poprosi swego przyjaciela o tę minjaturkę hrabiny Cagliostro, malowaną w Moskwie r. 1816. (Beaumagnan machinalnie usłuchał rozkazu i wziął minjaturę z rąk barona d'Etigues) — Niech jej się pan przypatrzy uważnie. To moja podobizna, nieprawdaż?

— Do czego pani zmierzasz? Nie rozumiem.

— Niech mi pan powie. Czy to mój portret?

— Tak, bez najmniejszej wątpliwości.

— Jeżeli to mój portret to w takim razie musiałam wówczas żyć i mieć lat dwadzieścia pięć lub trzydzieści. Przed osiemdziesięciu laty! niech pan pomyśli, niech się pan zastanowi czy coś podobnego jest możliwem?! Albo nie, powiem panu coś lepszego: niech pan wyjmie tę minjaturę z ramek, tak, na odwrotnej stronie jest drugi obrazek. Jest to portrecik młodej uśmiechniętej kobiety, której głowa osłonięta jest szalem spadającym aż do

opuszczonych rzęs, a tak powiewnym że widać przezeń jej ciemne włosy, rozdzielone równo nad czołem, prawda? Czy rysy tej kobiety przypominają moje? niech pan spojrzy.

Podczas gdy Beaumagnan oglądał miniatyrę, hrabina Cagliostro zarzuciła na głowę swój szal i spuściła oczy. Podobieństwo do owego portreciku, który istotnie znajdował się na odwrocie miniatURY, — było tak uderzająco że Beaumagnan zawołał:

— Tak... to pani... to znowu pani...

— A więc w takim razie niech pan odczyta datę, znajdującą się na prawej stronie u dołu

Beaumagnan odczytał:

— Malowane w roku 1498 w Medjolanie.

Hrabina powtórzyła:

— W roku 1498! Przed czterystu laty.

Poczem roześmiała się głośno dźwięcznym wesołym śmiechem.

— Niech pan nie robi takiej przerażonej twarzy! Wiedziałam o tej podwójnej minjaturze i szukałam jej oddawna. Niema tu żadnego cudu; to nie ja pozowałam do niej, choćby dlatego że nie liczę sobie jeszcze czterystu wiosen. Twarz, którą pan tam widzi przed sobą jest twarzą Panny Marji, skopjowaną z obrazu Bernarda Lu-

ini, mistrza medjolańskiego, jednego z uczniów Leonarda da Vinci.

Głos jej nagle spowaźniał. Nie pozostawiając przeciwnikowi chwili czasu do zaprotestowania, w ten sposób ciągnęła dalej:

— Teraz pojmuje pan do czego zmierzam, panie Beaumagnan? Jest coś wspólnego między mną a panną Marją Bernarda Luini i portretem młodego dziewczęcia z Moskwy. Tym czemś niezaprzeczalnie wspólnem, a niezrozumiałem jest uderzające podobieństwo. Trzy absolutnie te same twarze, choć z różnych epok, należące do jednej i tej samej kobiety. Czemu nie chce pan zrozumieć, że to samo, napozór niepojęte zjawisko, mogło się powtórzyć i w innych okolicznościach, i że kobieta, którą pan widział w swoim pokoju, kobieta, tak uderzająco podobna do mnie, nie była jednak mną. A zarazem była tą samą, którą pan posadza o zamordowanie tamtych dwóch przyjaciół swoich, tego Saint Herbert'a i Iseoal'a?

— Ależ ja widziałem... bąkał Beaumagnan, który blady, zmieniony stał przed nią — na własne oczy widziałem....

— Przed chwilą widział pan na własne oczy fotografię z przed paru tygodni, miniaturową z przed osiemdziesięciu laty i portret z XV wieku. Czy będzie pan twierdził, że to ja jestem tam wszędzie?

Podniosła ku niemu swą świeżą młodą a tak piękną twarz, bez jednej zmarszczki, o oczach błyszczących życiem, o jasnym uśmiechu odsłaniającym zdrowe, jak śnieg białe ząbki. Spojrzał na nią i przez chwilę jakby się zawahał, ale wnet wykrzyknął ze zdwojoną gwałtownością:

— O piekielnico, umiesz ty mówić tak, aby przekonać każdego!., słowa twoje jak toń pociągają i oplątują człowieka. Ale kobieta na minijaturze ma ciemne znamię na odsłoniętych nisko plecach. Znamię te widziałem i na twojem ciele... pokaż że go innym aby się przekonali!...

Blady był a pot strumieniem ściekał mu z czoła; w uniesieniu wyciągnął rękę aby uchwycić ją za ramię ale z dziwną siłą odepchnęła go. — Dosyć — rzekła — dosyć. Pan jest doprawdy nieprzytomny i to już od dłuższego czasu. Wysłuchałam wszystkiego co pan mówił i przyznać muszę iż wysłuchałam z oburzeniem, mówił pan o mnie tak jak gdybym była jego kochanką, a jednak nie byłam nią nigdy. Można spowiadać się publicznie ale spowiedź ta powinna być szczerą; pańska nią nie była. Próżność popchnęła pana ku kłamstwu i to co pan wyznałeś swoim przyjaciołom, dalekiem jest od prawdy. Poznaliśmy się, to prawda. Chciałeś mnie pan posiadać, i to również prawda, ale się to panu w zupełności nie udało. Ani razu nawet nie pozwoliłam panu dotknąć ustami mojej ręki. Zadrasnęłam pańską

próżność, nie zadowoliliłam pańskiej chuci — i oto przyczyna pańskiej nienawiści.

Przez zemstę chce mnie pan zgubić i dlatego przedstawił mnie pan swoim przyjaciółom jako przestępczynię, jako czarownicę. Tak, jako czarownicę. Chce pan bowiem wpoić w swoje otoczenie przekonanie że taki człowiek jak pan słabym ani ułomnym być nie umie. Jeśli więc zawinił, to mógł to uczynić jedynie na skutek jakichś sił nadnaturalnych. Doprawdy panie Beaumagnan pan nie wie nietylko co czyni, ale nawet co pan mówi. Jakiem prawem twierdzi pan że byłam w pańskim pokoju i że wkładałam truciznę między pańskie lekarstwa? Był tam ktoś, być może, ale nie ja. Była to inna kobieta, tak ludzka podobna do mnie.

Inna... ta która znajduje się na waszej i na mojej drodze, panowie. Ta która dąży do tego samego co i my celu. Jest jeszcze ktoś co posiada papiery Cagliostro i nosi jego imię To markiza de Belmonte, hrabina Fenis'e. Jej to musi pan szukać, panie Beaumagnan, to ją a nie mnie widział pan wówczas u siebie, i padł pan ofiarą łatwo zrozumiałej halucynacji.

Wszystko co się działo dziś tutaj uważam za nieporozumienie lub za przykry żart. Nie odzywałam się, nie broniłam się i nie zaprzeczałam niczemu, wiedząc aż nadto dobrze iż jestem niewinna. Wiem zresztą że nic mi się nie stanie, bo niema tu między

wami człowieka tak podłego żeby mnie skazał na śmierć. Pan być może panie Beaumagnan, bo jesteś pan fanatykiem, chwilami niemal nieprzytomnym, ale nie znajdzie pan w tym zebraniu niegodziwca któryby pana poparł lub panu pomógł. Skończmy więc tę przykrą scenę, i wróćcie mi panowie wolność. Siła jest przy was; możecie mnie sądzić i osądzić, ale pamiętajcie, że niema więzienia z którego bym się nie wydostała równie łatwo jak wy z tej sali. Możecie korzystać ze swojej przewagi. Co do mnie nie przemówię więcej ani słowa.

Usiadła znów na swoim miejscu i spokojnie oparła łokieć na ławce. Rola jej była skończona. Przemawiała bez cienia przestachu, ze zdumiewającą pewnością siebie i zupełnym spokojem. Logika jej rozumowania nie dała się zaprzeczyć, a to co mówiła było ogromnie proste i zarazem ogromnie prawdziwe.

Jeżeli bowiem istotnie była osobą którą obwiniał Beaumagnan i d'Etigues, którą poznał d'Arcole, osobą sfotografowaną i namalowaną na trzech podobiznach z odległych od siebie czasów — to lista jej przestępstw musiała być o wiele dłuższą. Czemuż mówić o jednych, wyłączając drugie? Ale jakże zgodzić się z twierdzeniem tak nieprawdopodobnem, po prostu niemożliwem? Dlaczego nie przyjąć iż Beaumagnan się pomylił, że jakieś okropne nieporozumienie istotnie tkwiło w całej tej sprawie?

Beaumagnan nie mógł nic przeciwstawić tym twierdzeniom.

Czując że z pojedynku tego wyszedł zwyciężonym, milczał i poniechał walki. Raul zauważył również, że obecni nie mieli już tego zaciętego, jakby skamieniałego wyrazu w twarzy; przeciwnie wyglądali jak ludzie którzy zaczynają się wahać. To też nadzieja wstępowała w serce młodego człowieka, ale niestety przyćmiewała ją nieco myśl o owych przygotowaniach, o których wspominali, przed rozpoczęciem zebrania, d'Etigues i Bennetor.

Beaumagnan odciągnął na bok barona i przez chwilę mówili o czemś półgłosem, poczem Beaumagnan zwrócił się do obecnych z wyrazem człowieka, który powziął niezłomną decyzję.

— Drodzy przyjaciele — rzekł — wiecie teraz aż nadto dobrze jaką jest sytuacja. Słyszeliście oskarżenie i obronę. Widzieliście z jaką pewnością d'Etigues i ja obwinialiśmy tę kobietę i byliście świadkami jej chytrej obrony, gdy starała się w nas wmówić jakieś, zupełnie niemożliwe podobieństwo. Sprawa jest zupełnie jasną: mamy przed sobą potężną przeciwniczkę, która nie zawaha się przed żadnymi środkami i nie da nam nigdy spokoju. Musimy wybierać: my czy ona. Jej życie zagraża ruiną nam i naszemu dziełu.

Nie sądzicie jednak iż śmierć jest jedynem rozstrzygnięciem tej zawilej sytuacji, lub karą jaką

wam proponuję. Chciałbym poprostu unieszkodliwić naszą przeciwniczkę, tak aby nie mogła nam grozić i przeszkadzać. Jest to może zbyt łagodny środek ale odpowiada bardziej naszemu sumieniu, bo wszak nietyle nam chodzi o to aby karać lub mścić się, ale raczej o to aby się bronić.

Przewidując waszą zgodę przygotowaliśmy plan następujący: tej nocy statek angielski przepływa w pobliżu brzegu. Wyśle on ku nam barkę ku której przyplniemy tak, aby spotkanie nastąpiło około dziesiątej u podnóża skały Belval. Powierzmy tę kobietę marynarzom angielskim, którzy, zgodnie z umową odwiozą ją do Londynu i zamkną w domu warjatów. Pozostanie ona tam aż do chwili ukończenia naszych poszukiwań, to znaczy do chwili gdy już przestanie być niebezpieczną. Sądzę że nikt nie zaprotestuje przeciw temu projektowi, który, ratując nasze dzieło, nie obciąża naszego sumienia zbrodnią, dokonaną na bezbronnej kobiecie?

Raul przejrzał natychmiast plan Beaumagnan'a i zimny pot wystąpił mu na czoło.

— To śmierć — pomyślał — statek angielski, marynarze, dom warjatów, — wszystko to wymysł. D'Etigues przygotował dwie barki, do jednej z nich złożył nieszczęsną, wywiozą barkę na pełne morze i zatopią. Hrabina Cagliostro zniknie bez śladu i nikt nie dowie się nigdy co się z nią stało

Tymczasem przyjaciele Beaumagnan'a milczeli dając tem znak niemej zgody. Nie podejrzewali widocznie podstępu, i w oczach ich malowało się zadowolenie z takiego rozwiązania sprawy, przy którem skazanie na śmierć stało się zbędnem. Niejeden byłby się zawahał przed podobnym wyrokiem, a żaden, prócz Beaumagnan'a, barona i Bennetot, nie wiedział iż wyrok taki faktycznie zapadł. Jeden za drugim w pośpiechu opuścili salę, zostawiając w niej tylko Beaumagnan'a i dwóch kuzynów.

Ci trzej mieli więc teraz ręce rozwiązane. Mogli czynić co im się podobało z tą kobietą, której życie zależało tylko od ich dobrej roli. Ale Raul nie wątpił, że to co zaczęto tak zagadkowo, skończy się dramatycznie.

Przez tych parę krótkich godzin obwiniania i sądu, zdołał sobie zdać sprawę z charakteru Beaumagnan'a, prawdziwego kierownika tak tego zamysłu, jak i całej wspomianej sprawy. Sąd i zebranie miały być dlań jedynie pożądanym pretekstem dla przeprowadzenia swojej roli. Wiedziony miłością, fanatyzmem i nienawiścią w równej mierze, postanowił odrazu że kobieta ta musi umrzeć. A jednak w chwili, gdy tej woli jego stało się zadość, gdy nic nie mogło przeszkodzić jej wykonaniu — jakaś niepewność, jakiś żal nieokreślony malował się na jego twarzy. Duma, porywczość, a zarazem niezłomna siła woli mieszały się w tym człowieku

z napadami słabości, z nieoczekiwanym przyływem łagodniejszych uczuć.

Stał na progu jakby nie mogąc się zdecydować na opuszczenie sali, i przyglądał się swej ofierze, brwi jego były zmarszczone, twarz blada, a usta drgały mu nerwowo. Zdawało się że się waha, że chce zbliżyć się do hrabiny, że chce coś powiedzieć lub uczynić, przeciw czemu sam się broni. Ale nagle właściwym mu a nieco teatralnym ruchem, ujął za ramię Godfryda d'Etigues i odprowadziwszy go na bok, rzekł półgłosem:

— Wszystko tak, jak ułożone. Żadnych głupstw, żadnej słabości, nieprawdaż?..

Przez ten czas hrabina Cagliostro siedziała bez ruchu i bez słowa, zachowując spokojny, nieco zamysłony wyraz twarzy, tak nie licujący z jej sytuacją.

— Oczywiście — myślał Raul — nie podejrzewa tego co ją czeka. Sądzi iż osadzą ją istotnie na jakiś czas w domu warjatów, która to perspektywa dla jakichś powodów, nie przestrasza jej.

Minęła godzina, mrok zaczął zapadać na dobre. Hrabina Cagliostro kilkakrotnie spoglądała na swój zegarek.

Próbowała zawiązać rozmowę z Bennetot, który pozostał przy niej sam na straży. Gdy zwróciła się ku niemu głos jej i uśmiech przybrały wyraz czarujący.

Ale Bennetot zaledwie mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

Minęło jeszcze pół godziny. Było już całkiem ciemno. Hrabina Cagliostro obejrzała się wkoło siebie i zauważyła iż drzwi prowadzące do ogrodu były w pół uchylone. Widocznie myśl o ucieczce zaświtała jej w głowie, gdyż nagle cała jej postać naprężyła się jak do skoku.

Raul ze swej strony szukał również środka ratunku. Gdyby był miał rewolwer byłby zastrzelił Bennetot, ale niestety nie posiadał przy sobie broni; przez chwilę chciał skoczyć na salę i na pięści zmierzyć się z przeciwnikiem, ale otwór, którym wyglądał na salę, był o wiele zamały.

Przytem Bennetot był uzbrojony. Zauważył spojrzenie i ruch uwięzionej, gdyż wyjął rewolwer i oświadczył:

— Jeśli się pani poruszy położę ją trupem na miejscu.

Było tyle groźby w tonie jego głosu iż istotnie hrabina nie poruszyła się więcej; nie starała się nawet rozmawiać. Raul nie spuszczał jej z oka.

Około siódmej Godfryd d'Etigues powrócił.

Zapalił lampę i zwróciwszy się do kuzyna rozkazał:

— Przynieś nosze i przygotuj wszystko. A potem idź coś zjeść.

Pozostawszy sam na sam ze skazaną baron d'Etigues począł nerwowo przechadzać się po sali Ruchy jego były niepewne, a zachowanie zdradzało człowieka, który musi zrobić czy powiedzieć coś, czego wolałby uniknąć. Jak zwykle w tych wypadkach zdecydował się nagle, nieomal brutalnie. — Czy nie sądzi pani że dobrzeby było dla niej pomodlić się nieco? — zapytał głosem ochrypłym, i nie patrząc na hrabinę.

Ona za to podniosła na niego spojrzenie tak spokojne iż znać było, że nie domyśla się niczego.

— Czemu? — rzekła — skąd ta rada?

Głos jego stał się jeszcze bardziej chrapliwym i zupełnie cichym:

— Jak się pani podoba... chciałem tylko powiedzieć....

— Co to znaczy? zapytała głosem, w którym po raz pierwszy zdrząła nuta strachu.

— Są chwile — szepnął — gdy lepiej jest pomyśleć o Bogu... chwile w których śmierć jest tak blisko....

W tej chwili zrozumiała co ją czeka. Z wyrazem zwierzęcego przerażenia wyciągnęła ręce i krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Umrzeć! a więc mam umrzeć! Więc Beaumagnan mnie oszukał! Nie zawieziecie mnie do domu warjatów! Niech pan powie co zrobicie ze mną?...

Nie odpowiedział, uczynił jakiś nieokreślony ruch ręką, nie patrząc na swą ofiarę.

— O Boże miłosierny! — zawołała nieszczęśliwa — w ciemną noc, na morzu wrzucicie mnie do wody... o Boże ratuj mnie, nie dopuść mojej śmierci!..

Godefroy d'Etigues trzymał w ręku grubą wełnianą chustkę. Brutalnie zarzucił ją na głowę hrabiny i, kneblując jej usta, zagłuszył jej krzyki.

W tej chwili Bennetot powrócił. Bez jednego słowa pomógł kuzynowi związać hrabinę, poczem obaj położyli ją na noszach, i przywiązali do nich. Potem nie patrząc na siebie, nić nie mówiąc usiedli w dwóch przeciwnych rogach sali.

W TONACEJ ŁODZI.

Robiło się coraz ciemniej. Milczenie zaciężyło wreszcie Oskarowi Bennetot i zwrócił się półgłosem do kuzyna:

— Trzeba było przynieść chociaż flaszkę rumu — rzekł, — są chwile w których lepiej być nieprzytomnym.

— Przeciwnie, uważam że dziś właśnie powinien panować nad sobą i zdawać sobie sprawę z każdego kroku — odparł Godefroy d'Etigues.

— Nie powiem abym z przyjemnością czekał na tę robotę.

— W takim razie czemu nie oparłeś się od razu życzeniom Beaumagnan'a? Czemu nie powiedziałeś mu, że nie podejmiesz się tego?

— Wiesz dobrze że nie mogłem tego powiedzieć.

— W takim razie siedź cicho.

Znowu umilkli. Naokoło panowała zupełna cisza; żaden głos nie dobiegał ani z parku ani z pałacu.

Bennetot, który stanowczo nie mógł usiedzieć na miejscu, zbliżył się do noszy i pochylił się nad nimi.

— Nie rusza się — szepnął — prawie nie oddycha.

I podchodząc do kuzyna spytał bardzo cicho i niemal bojaźliwie:

— Czy ty naprawdę wierzysz w to wszystko?

— W co naprzykład?

— No w jej wiek choćby.... w te jasnovidzenie z przed laty.... w jej pochodzenie?

— Wszystko bzdury.

— Ale Beaumagnan w to wierzy.

— Któż odgadnie w co wierzy, lub myśli Beaumagnan.

— A jednak Godfrydzie, jest w tem wszystkim coś tak niepojętego.... tak dziwnego.... że czasami jest się bliskim myśli, że ta kobieta musi być czarownicą.

Po chwili wahania baron odparł:

— Tak, jest w tem wszystkim coś niemal przestraszającego. Gdy czytałem głośno te raporta, wierzyłem sam przez chwilę że wszystko w nich jest prawdą. Ale dajmy temu spokój. Starajmy się przy-

najmniej nie myśleć o tem co zmuszeni jesteśmy zrobić. Przysięgam ci na Boga — dodał głosem mimowoli podniesionym — że nie podjąłbym się nigdy tego gdybym mógł się wymówić.

Istotnie, Godefroy d'Etigues wydawał się tak wstrząśniętym, że nie chciał czy może nie był w stanie mówić dalej.

Ale Bonnetot mniej wrażliwy znów powrócił do porzuconego tematu.

— I ja bym się też nie podjął, zapewniam cię. Powiem ci więcej jeszcze: oto poprostu w tej chwili mam chęć scisnąć wszystko i uciec, bez względu na następstwa. Mówiłem ci już raz o tem. Beaumagnan posługuje się nami bo jesteśmy mu potrzebni, wie on o wiele więcej niż nam się zdaje, i pewnego pięknego dnia, gdy mu już nie będziemy potrzebni, zostawi nas na lodzie, a sam będzie korzystał z całej zdobyczy.

— Dajże spokój takim przypuszczeniom.

— No, już ty się przekonasz.

Zniecierpliwiony baron szarpnął go za rękę.

— Jak możesz mówić coś podobnego — syknął — przecież ona słucha.

— Cóż ci to szkodzi że słucha? przecież i tak....

Bennetot nie dokończył zdania. Umilkł. Przez długie, długie chwile żaden się nie odzywał. Obydwaj

zamyślili się tak głęboko, że drgnęli z przestrawu, gdy dzwon kościelny począł wybijać godzinę. Liczyli po cichu uderzenia: było ich dziesięć.

Godefroy d'Etigues podniósł się, gwałtownie odpychając krzesło.

— Do licha! — zaklął — więc to już.

— Już — jak echo powtórzył Bennetot—i mamy my iść tylko we dwóch?

— Tamci przyjdą. Ale odprowadzą nas tylko do podnóża skał, nie mogą iść dalej bo przecie wierzą w ten angielski statek.

— Ale jabym wolał abyśmy szli wszyscy.

— Cicho! Rozkaz tyczy się tylko nas. Im więcej osób, tem więcej gadania. Patrz już nadchodzą.

Jakoż trzech mężczyźni, którzy nie odjechali wieczornym pociągiem, d'Ormont, Roux d'Estiers i Rolleville wchodzili do sali. Jeden z nich niósł latarnię, którą jednak baron kazał zgasić.

— Żadnego światła — komenderował — mógłby je kto dojrzeć na szczycie skały i dałoby to w razie czego powód do plotek i domysłów. Czy służba śpi?

— Śpią wszyscy. Klaryssa nie wychodziła wcale ze swego pokoju.

— Wiem, wiem — rzekł baron — czuła się niedobrze. No, idziemy.

D'Ormont i Rolleville ujęli za nosze. Pochód ru-

szyl powoli przez ogród ku bocznej furtce, a przez nią na polną ścieżkę biegnącą ku morzu. Noc była ciemna, na chmurnem niebie nie błyszcząca ani jedna gwiazda, to też trudno było iść wśród drzew i krzewów starego parku. Niejeden się potknął i zaklął głośno, ale baron d'Etigues wnet nakazał milczenie.

— Żadnych hałasów, tam do licha! mogą nas usłyszeć i poznać.

— Przecie nikogo nie ma. Służba wysłana spać a strażnicy celni piją w gospodzie.

— Temniemniej jednak możemy się natknąć na kogoś. Czyż można wszystko całkowicie przewidzieć? I w takich sprawach jak nasza nie jest się nigdy zbyt ostrożnym.

Doszli do skał nadmorskich, w których jakiś proboszcz z Benouville kazał wykuć kiedyś schody kamienne tak, aby wieśniacy mogli dostać się na wybrzeże i do przystani krótszą drogą. Schody te były strome i bardzo niewygodne, tak że zejście po nich przedstawiało trudności nawet we dnie a nie dopiero w ciemną noc i z takim ciężarem.

— Nie wiem czy sobie poradzicie — rzekł Rolleville — sądzę że lepiej było abyśmy wam pomogli i oświetlili drogę.

— Nie, nie — zaprotestował baron — im nas

więcej będzie tem łatwiej możemy zwrócić uwagę. Rozstańmy się tutaj.

Wezwani zgodzili się z łatwością i nikogo nie nęciło zbytnio to zadanie. Baron d'Etigues i Bennetot pozostali wkrótce sami i bez zwłoki puścili się w drogę.

Była ona długa i zmusna. Stopnie po których schodzili były wysokie a wąskie; kieszonkowa latarka rzucała blade, ledwie wystarczające światło; nosze ciężyły i zawadzały. Po półgodzinie takiego marszu Bennetot zaproponował aby je zrzucić wraz z ich ciężarem, że skutek będzie ten sam co i utopienie, a zaoszczędzi im trudu i zmęczenia, ale baron oparł się temu.

Nareszcie zziązani, zmęczeni wydostali się na wybrzeże, skąd już mogli dostrzec, kołyszące się w oddali na wodzie dwie łódki. Bennetot pokazał kuzynowi otwór, który zrobił w mniejszej z nich, a który narazie zatkany był czopkiem. Nosze z nieruchomą, niedającą znaku życia hrabiną Cagliostro złożyli na dnie tej łódki.

Bennetot zauważył nagle:

— Fala może wyrzucić nosze, i jeżeli dojdzie do śledztwa będą one dowodem przeciwko nam.

— Popłyniemy zbyt daleko aby fala mogła je wyrzucić; przytem nosze pójdą na dno bo do nich przywiążemy kamień. A gdyby nawet znalazły się

na brzegu to są to stare, nieużywane nigdy nosze, których nikt w zamku nie rozpozna. Niema obawy.

Głos barona był tak niepewny, tak zmieniony że Bennetot nie mógł go rozpoznać.

— Co tobie Gotfrydzie? — spytał.

— Nic. Daj mi spokój z pytaniami.

— No to mów co robić.

— Teraz przywiąż ten kamień. Tak. No a teraz musimy „jej“ odkneblować usta i spytać ją jakim jest jej ostatnie życzenie. Beaumagnan mi to polecił. No, zbliż się do niej.

— Ja? — zawoła Bennetot w panicznym przestraszeniu — miałbym jej odsłonić twarz, przemówić do niej!? Nie zrobię tego za nic.

— Ani ja. Nie mogę zdobyć się na to.

— Co prawda jest winną przecie... zabiła tamtych dwóch...

— Zabiła... prawdopodobnie że zabiła... to straszna kobieta, która tylko wygląda tak niewinnie napozór...

— Ale jest tak piękna — westchnął Bennetot — tak piękna jak święta...

I nagle, ukłękawszy na brzegu począł modlić się za tą, którą za parę chwil miał wydać na niechybną śmierć.

— Baron d'Étignes wtórował cicho jego modlitwie a gdy wyrzekł wreszcie głośniejsz „amen“ jakby nowe siły wstąpiły w niego. Pociągnawszy za sobą towarzysza umocował łódź w której leżała ofiara do drugiej łodzi a potem zepchnął obie na wodę. Obaj wskoczyli do pustej łodzi i poczęli usilnie wiosłować.

Posuwali się szybko naprzód a dzięki zmrokowi który zdawał się gęstnieć coraz bardziej, przesunęli się jak czarne cienie między skałami i poczęli się wydobywać na pełniejsze morze. Po dwudziestu minutach baron rzucił wiosła.

— Doprawdy już nie mogę — szepnął — ręce odmawiają mi posłuszeństwa.

— I ja jakoś dziwnie się zmęczyłem — przyznał Bennetot.

Godefrey d'Étignes znów ujął za wiosła ale po chwili rzucił je i rzekł:

— Na co płynąć dalej? Zróbmy „to“ tutaj. Fale są tak duże że uniosą łódź.

Bennetot był tego samego zdania.

— W takim razie — komenderował baron — przyciągnij liną łódź do siebie i wyjmij czop.

— To nie moja rzecz — zaprotestował Bennetot — to było tobie polecane.

— Wszystko jedno komu byle było zrobione. Ciągnij.

Bennetot pociągnął; kołysząc się na falach łódka zbliżyła się i traciła dziobem w bok tej łodzi w której siedzieli dwaj kuzyni. Teraz należało jedynie wyjąć czopek. Zadanie łatwe, a jednak Bennetot zabrakło doń sił.

— Nie mogę — jęknął opuszczając ręce — wierzaj mi, Gotfrydzie, że nie mogę.

Baron d'Etigues poskoczył ku niemu o usuwając go na bok, prędkim ruchem wyciągnął czop. Z cichym pluskiem woda zaczęła wlewać się do wnętrza łodzi. Było coś tak groźnego w tym jej plusku że d'Etigues, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, chciał znowu zatkać otwór, ale było już zapóźno. Chwyciwszy za wiosła, Bennetot, nieprzytomny ze zdenerwowania, kilkoma potężnymi uderzeniami odepchnął o parę metrów dalej łódź w której się znajdowali.

— Warjacie, co robisz! — krzyknął baron — stójże, wróć u licha. Jeszcze można ją uratować! Ja ją chcę ocalić,, wróć!...

Ale Bennetot nie słyszał i nie słuchał. Pochylny nad wiosłami pracował tak, że aż trzeszczały rzemienie.

Teraz nie było ratunku; stało się to, co się stać miało. Woda za chwilę zaleje łódź i nosze, obciążone kamieniem pójdą na dno. Kobieta, która na nich leżała, była już niemal trupem.

Godefrey d'Etigues zrozumiał to. Nie mówiąc już nic ujął za drugą parę wiosel i począł pomagać towarzyszowi. Obydwaj chcieli jaknajprędzej oddalić się od miejsca swojej zbrodni, uciec zanim woda zamknie się nad ofiarą. Wiosłowali, nie zachowując już żadnych środków ostrożności, nie myśląc czy kto ich dojrzy z brzegu, czy usłyszy.

Hrabina Cagliostro była przytomną; czuła jak ją układano w łodzi, czuła jak odpływano na morze, i słyszała plusk wlewającej się wody. Wiedziała że lada chwila zimne fale obejmą jej ciało, przenikną przez jej suknie, i że, nie zdoławszy wydać krzyku zacznie opuszczać się na dno.

Ale łódź nie zanurzała się; zdawało się hrabinie że zaczyna odzyskiwać równowagę. Czy było to złudzeniem osoby stojącej już na progu śmierci? Nie, ktoś nachylał się nad nią i jakiś głos przemówił do niej.

Nie był to głos barona ani Bennetot. Był to głos zupełnie jej nieznanym, bardzo dźwięcznym i młodym.

— Niech pani będzie spokojną. Jestem aby panią wyratować.

Nie wiedząc czy słyszy i czy rozumie, mówiący ciągnął dalej:

— Pani mnie nie zna, nigdy mnie pani nie widziała, ale jestem jej przyjacielem. Nazywam się Raul,.... Raul d'Andrassy. Zatkam otwór drzewem

i kawałkiem materji i sadzę że uda nam się dopłynąć do brzegu. Wprzód jednak wyrzucimy ten zupełnie niepotrzebny balast.

Z tymi słowy rozciął więzy młodej kobiety, i uwiązany przy noszach kamień wrzucił do wody. Potem oswobodziwszy ją z chustek któremi zakneblowano jej usta skłonił się i rzekł:

— Teraz jestem zupełnie zadowolony. Wszystko udało się nadspodziewanie i śmiał powiedzieć że pani jest uratowana. Czy tylko nie przemokła pani? Jak się pani czuje?

Odparła niemal nieprzytomnie:

— Dobrze, zupełnie dobrze... tylko noga... sznury zraniły mnie...

— To bagatela. Niech pani nie myśli o tem. Grunt że za chwilę będziemy na brzegu. Obydwa prześladowcy pani napewno już wylądowali i wspinają się teraz po schodach. Nie potrzebujemy więc ich się lękać.

Wyciągnawszy z pod ławki wiosło, które tam poprzednio ukrył zabrał się do wiosłowania, rozmawiając przytem wesoło tak, jakgdyby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

— Przedewszystkiem muszę się dokładniej przedstawić aczkolwiek nie jestem odpowiednio po temu ubrany. Właściwie należałoby powiedzieć iż

jestem rozebrany, gdyż musiałem sobie na poczekaniu sfabrykować coś w rodzaju kąpielowego kostjumu. Trudno, skoro się wie, że się będzie musiało pływać, trzeba się zdecydować na zrzucenie garderoby. Zatem pani wybaczy a zarazem pozwoli — jestem Raul d'Andrassy. Mówię to na wypadek gdybyśmy się kiedy znów spotkali. Dowiedziałem się o spisku przeciw pani i postanowiłem przyjść jej z pomocą. Pobiegnę do przystani i uczepięm się pod łodzią, w której panią tak uprzejmie ulokowano. Jak tylko tamci dwaj panowie się oddalili, co trzeba im przyznać uczynili nader prędko, zatkałem łódź przygotowanym zawczasu czopkiem i oto płyniemy wybornie. Później opowiem pani to wszystko szczegółowo, teraz bowiem jak mi się zdaje, nie jest pani w stanie słuchać.

— Jestem tak wyczerpaną — szepnęła — nie wiem co się ze mną dzieje...

— Dam pani radę — rzekł — niech pani zemdleje. Nic tak nie uspokaja nerwów jak porządne omdlenie.

Usłuchała go bez słowa. Leżała cicho nieruchoma, a równy jej oddech dowodził że usnęła. Raul przykrył jej twarz.

— Templepiej że śpi. Mogę w zupełności oddać się swoim myślom.

Wiosłował więc, rozważając wszystko to co

zaszło i co należało jeszcze uczynić. Łódź tymczasem mknęła po wodzie zbliżając się do skał. Gdy dziób jej uderzył o kamienie Raul wyskoczył na brzeg, wyciągnął łódkę i wyniosłszy z niej hrabinę Cagliostro złożył ją na skale.

— Jak pani widzi — rzekł śmiejąc się — na siłę mi nie zbywa. Jestem championem boksu. Oddziedziczyłem to po moim ojcu. Ale dość gadania. Teraz do roboty. Ponieważ sądzę że będzie pani chciała zemścić się na swoich prześladowcach, przeto lepiej aby do czasu nie domyślali się iż pani żyje. W ten sposób łatwiej dadzą się podejść. Ale na to urzeba, aby nie odnaleźli tu tej łódki. Przeto proszę o chwilę cierpliwości.

Wskoczywszy z powrotem do łodzi Raul począł wiosłować. Gdy oddalił się nieco od brzegu, wyciągnął czopek a sam wpływ powrócił do skał. Był przekonany że łódka zalana wodą pójdzie na dno. Na brzegu odszukał ukryte pod kamieniami swoje ubranie i, ubrawszy się, powrócił ku hrabinie która leżała bez ruchu tam gdzie ją pozostawił.

— Wszystko już załatwione — rzekł — teraz musimy wydostać się po za te skały, co także nie jest łatwe.

Józefina Balsamo otwarła oczy i zupełnie przytomnie spojrzała na niego; pomógł jej się podnieść, ale zaledwie stąpiła parę kroków dotkliwy ból w no-

dze zmusił ją do zatrzymania się. Z głośnym jękiem oparła się o skałę. Raul ściągnął jej buciki i pończochy i wówczas ujrzał że noga jej była skrwawiona. Sznury przecięły skórę, niezbyt głęboko coprawda, ale bardzo boleśnie. Młody człowiek zrobił jej prowizoryczny opatrunek, posługując się chustką jako bandażem; potem wzięwszy ją na ręce począł wstępować na schody.

Hrabina była lekką ale 350 stromych schodów do przebycia z takim ciężarem nie były bagatelą. Czterokrotnie Raul zatrzymywał się po drodze i, ścierając pot z czoła, zdobywał się na nadludzki wysiłek kontynuowania swej drogi.

Mimo to humor nie opuszczał go. Przy trzecim odpoczynku złożył jej głowę na swoich kolanach, a gdy żartował zdawało mu się, że jej oczy uśmiechały się w odpowiedzi na jego żarty. Wreszcie przyciskając mocno do piersi te czarujące, młode ciało, przebył ostatni kawałek drogi.

Teraz szedł polem w stronę dużej stodoły, która sobie zawczasu upatrzył; ukrył w niej dwie flaszki ze świeżą wodą, butelkę koniaku i nieco żywności. Po drabinie, przystawionej do szczytu stodoły dźwigając ciągle swój ciężar dostał się do lukarny służącej za okno, i przez jej otwór wszedł do środka budynku. Potem odtrącił drabinę która cicho opadła na trawę,

— A teraz — szepnął — dwanaście godzin spokojnego snu. Dwanaście godzin wypoczynku, po którym odwożę panią tam gdzie mi rozkażesz.

Tylko co minione niebezpieczeństwo zdawało się już tak daleko! Teraz byli oboje, sam na sam, zamknięci w tej pustej, tak przemile bezpiecznej stodole.

U pułapu wisiała latarnia; przy jej świetle Raul położył hrabinę na miękkim posłaniu z siana, napoił ją i nakarmił. Czując że pod jego opieką nic jej nie grozi, Józefina Balsamo znów zamknęła oczy i po chwili zasnęła twardo.

Światło latarni padało na jej twarz, tak piękna i znów spokojna, pomimo tylu strasznych przeżyć. Klęcząc obok niej Raul przyglądał jej się długo; poszarpane, zmięte suknie zsunęły się nieco z jej ramion odsłaniając doskonale linje ciała, klasyczny zarys szyji.

Młody człowiek przypomniał sobie słowa Beaumagnan'a; nie mógł się oprzeć chęci zobaczenia czy istotnie miała na ramieniu owo czarne znamię, widoczne na minjaturze malowanej w Moskwie. Ostrożnie, by nie zbudzić śpiącej, zsunął jej z ramion strzępy sukni; na białym, gładziutkim atlasie skóry, lśniła czarna plamka, unosząc się i opadając lekko w miarę oddechu śpiącej.

— Kimże ty jesteś? — szepnął ze zdumieniem

młody człowiek — z jakiej epoki, z jakiego świata przychodzisz do mnie?

I on z kolei tak jak wielu innych stanął przed zagadką pochodzenia tej kobiety? Tak jak inni za-pytywał, czy była tą samą, którą odtworzono na min-jaturze z przed osiemdziesięciu laty, tą samą czyje przygody i czyny datowały z tyłu epok i wpływały na tyle dziejowych wypadków?

Przez sen wymówiła kilka słów, których znacze-nia nie zrozumiał.

Nachylony blisko nad nią wsłuchiwał się w jej oddech, patrzył jak poruszały się usta i wreszcie sam nie wiedząc jak i kiedy, pocałował leciutko jej wargi.

Westchnęła; otworzyła na pół oczy i ujrzawszy go nachylonego nad sobą, uśmiechnęła się uśmie-chem, który nie zszedł z jej twarzy nawet wówczas, gdy rzęsy jej znów opadły na oczy, dając znak że znów zasnęła.

Raul natomiast nie spał; długo składał ręce jak przed świętością i choć go słyszeć nie mogła szep-tał słowa szalonych wyznań:

— Boże mój, jakże jesteś piękna! — mówił — nigdy, nigdy nie sądziłem aby można było być tak piękną! Uśmiech twój czaruje, porywa. Chciałoby się go zgasić, zasłonić tak aby go nikt, nikt już wię-cej nie widział!..

— Józefina Balsamo, Józefina Balsamo — po-

wtarzał jak we śnie jej imię — jak to brzmi cudownie! Czarownicą nazwał ciebie Beaumagnan, ale ty jesteś wróżką i przychodzisz z krainy bajki. Józefina Balsamo... to imię stworzone jest do szczęścia i miłości. Życie moje zaczęło się od chwili gdym cię ujrzał; poznałem jego wartość po raz pierwszy dopiero dziś, gdym cię wziął w ramiona! Myślę tylko o tobie, chcę żyć dla ciebie. Chciałbym płakać ze szczęścia że jestem przy tobie.

Mówił to wszystko cichym i namiętym szepem nachylony tuż, tuż nad nią; ale pocałunek był jedyną pieśczętą na jaką sobie pozwolił. Było bowiem coś onieśmielającego w cudnym uśmiechu Józefiny Balsamo, coś co powstrzymywało, nakazując powagę i szacunek.

— Cudna ty moja — rzekł wreszcie — ja ci dopomogę w osiągnięciu twego celu. Wrogowie twoi nic ci nie uczynią, ja cię obronię. Zbliża czy zdaleka będę twoim opiekunem i rycerzem. Będziesz mogła zaufać mojemu oddaniu.

Tyle wzruszeń zmęczyło go. Nie wiedząc kiedy i jak, wśród najgorętszych przysiąg usnął twardym, głębokim snem, którego zmógł wreszcie jego podniecenie.

Zbudził się dopiero gdy zegar kościelny wydzwonił jedenastą. Ze zdumieniem liczył uderzenia.

— Południe? — zapytał sam siebie — czyż to możliwe?

Przez szpary w suficie, przez zasłoniętą deską lukarnę wdzierało się nieco słońca, mimo to zmrok był tak głęboki że Raul nic nie mógł odróżnić wokoło siebie. Zawołał po imieniu swą towarzyszkę; nikt mu nie odpowiedział, wyciągnął rękę: miejsce obok niego było puste.

Latarnia już zgasła. Po omacku doszedł do lukarny i odsłonił ją. Promienie słońca wdarły się do stodoły i zalały ją wesołym światłem. Józefina Balsamo gdzieś znikła.

Obszedł całą stodołę; nie znalazł zbiega. Wyszedł więc na łąkę i wołał i szukał wokoło, ale bez rezultatu. Mimo zranionej nogi, którą wczoraj nie mogła nawet stąpnąć — dziś — zeskoczyła z wysokiego okna, przeszła ogród i łąkę...

Raul wrócił do stodoły aby ją jeszcze raz przeszukać. Może odchodząc hrabina Cagliostro zostawiła jakiś znak, jakiś list. Jakoż nie szukał długo: na ziemi, wśród siana spostrzegł prostokątny kawałek tektury.

Była to jej fotografia. Na odwrotnej stronie znalazł następujący napis:

— „Mojemu wybawcy na znak wdzięczności—
wraz z prośbą aby nigdy nie starał się mnie odnaleźć“.

JEDNO Z SIEDMIU RAMION ŚWIECZNIKA.

Gdy nieco później Raul d'Andrassy wyciągnął swój rower z pod krzaka, w którym go przed 36 godzinami ukrył, był bliskim myśli, że wypadki ostatniego dnia i ostatniej nocy były jedynie wytworem jego bujnej fantazji, jakimś snem z którego dopiero co się obudził.

Ale fotografia Józefiny Balsamo, bardziej jeszcze wspomnienie gorącego pocałunku jaki złożył ukradkiem na jej ustach — przekonywały go żywo iż wszystko co przeżył było rzeczywistością. Wspomnienie to zarówno jak i ta fotografia — przywołały jego pamięć inną fotografię, inne pieścizoty. Klarysa d'Etigues stała jak żywa przed jego oczyma. Ale Raul odpędził od siebie te widzenia: miłość młodego dziewczęcia była uczuciem czystym, które za-

ćmiła nowa, tak nagle zrodzona namiętność. Hrabina Cagliostro opanowała zmysły Raula, pociągnęła ku sobie jego instynkt awanturniczości, zawładnęła nim niepodzielnie. Obraz biednej Klaryssy zatarał się w duszy młodego człowieka, choć w niej pozostał jak coś nieskończenie świętego, ale przez to samo właśnie dalekiego.

Raul d'Andrassy był w wieku, w którym niewdzięczność miesza się z poświęceniem, miłość również nagle rodzi się jak umiera, a w którym przedewszystkiem żyje się chwilą, nie zastanawiając się nad własnymi czynami ani nad ich następstwami.

Dotychczas właściwie nie kochał jeszcze; brakło mu i czasu potemu i sposobności. Był zbyt zajęty sobą, swoimi ambitnymi marzeniami o sławie, majątku, potędze, których pragnął całą siłą swej porywczej, namiętnej natury, niebardzo jeszcze wiedząc jak je zdobyć, a nawet gdzie szukać. Zdrowszy, silny, o bystrej inteligencji, przenikliwym umyśle, żelaznej woli — wierzył niezłomnie w swoją szczęśliwą gwiazdę i niecierpliwił się nieraz że los tak zwleka z obdarzeniem go tem wszystkiem, czego się odeń spodziewał.

— Wytrwałości — mówił sam do siebie — szczęście nie może mnie ominąć. Trzeba tylko wyzekać tej chwili, gdy przejdzie koło mnie i pozwoli się ująć.

Tymczasem musiał jakoś żyć i niebardzo umiałby wytłumaczyć skąd czerpał środki na owo życie. Był bowiem sierotą, bez przyjaciół, bez rodziny, bez żadnego majątku i, co ważniejsza, bez żadnego zajęcia. Mimo to dawał sobie radę z dnia na dzień, zadawałniając się tem co miał, w oczekiwaniu tego co mu życie przyniesie.

Józefina Balsamo, którą spotkał tak niespodziewanie, a którą zdołał uratować od niechybnej śmierci — przysłoniła mu cały świat. Nie zastanawiając się ani chwili nad tem czy była winną przestępstwu jakie jej zarzucano — widział w niej cel swych pragnień, bóstwo — któremu rad byłby służyć z zupełnem zaparciem się siebie.

Raz po raz wyjmując jej fotografie okrywał ją pocałunkami.

— Znajdę ją — powtarzał sobie uparcie — i muszę ją zdobyć. Wszystko to co w niej przeraża innych — mnie czaruje nieodparcie. Nietylko moją będzie, nietylko ją posiadę, ale uczynię z niej najbardziej oddaną, najuleglejszą kochankę. O Józefino Balsamo, całe twoje tajemnicze życie będzie dla mnie otwartą księgą; twoje myśli, twoje uczucia i ty cała należęć musisz do mnie.

A jednak ten hardy chłopak czuł że w głębi serca Józefina Balsamo onieśmiałała go nieco. I pewne rozdrażnienie, jakby bunt wewnętrzny, wywołane tą świadomością łączyło się z jego namiętnością.

Dwa dni spędził samotnie w zajeździe, w swoim małym pokoju, którego okno wyglądało na niewielkie, zasadzone jabłonią podwórko. Były to dni oczekiwania i rozwagi. Trzeciego dnia popołudniu zrobił długi spacer w pole, spodziewając się skrycie iż spotka przedmiot swych marzeń.

Sądził bowiem że Józefina Balsamo musi ukrywać się gdzieś w pobliżu; nie wróciła prawdopodobnie do Paryża aby zatrzeć wszelkie ślady i pozostawić swych wrogów w mniemaniu iż utonęła istotnie. Nie wątpiąc ani chwili iż będzie chciała się zemścić, przypuszczał iż pozostała tu, skąd mogła śledzić barona i jego gości.

Powróciwszy wieczorem do gospody zastał na stole wiązaną kwiatów polnych. Niewiadomo było kto i kiedy je przyniósł.

— To ona mi je dała — pomyślał młody człowiek, całując kwiaty.

Przez cztery dni ukrywał się w remizie, na podwórzu, śledząc każdego kto wchodził do zajazdu lub zbliżał się do okna jego pokoju. Jeżeli bowiem hrabina Cagliostro raz odwiedziła jego mieszkanie, to mogła tu i drugi raz powrócić. Jakoż czwartego dnia popołudniu ujrzał przed sobą smukłą sylwetkę kobiecą. Serce zabiło mu żywiej i był już gotów opuścić swą kryjówkę gdy poznał Klarysę d'Etigues.

Szła ostrożnie między drzewami, skradając się

w stronę jego pokoju; w rękę trzymała bukiet polnych kwiatów, które przez otwarte okno złożyła na stole. Później odwróciła się i z westchnieniem spojrzała wokół siebie a Raul przestraszył się na widok zmiany, jaka w ciągu tych paru dni zaszła w jej twarzy. Usta jej były blade, a oczy wpadnięte, podkrążone sinymi obwódkami, miały wyraz śmiertelnie smutny.

— Jestem gotowa bez skargi znieść wszelkie cierpienie dla ciebie i przez ciebie — powiedziała mu owego pamiętnego ranka, nie przeczuwając że cierpienie nadejdzie tak prędko i, że pierwszy dzień miłości, będzie zarazem dniem rozstania.

Odeszła. A ta krótka chwila współczucia, jaką widok jej wzbudził w Raulu, rozproszyła się pod wpływem gniewu że ona to, a nie hrabina Cagliostro była ofiarodawczynią kwiatów.

Odrzucając w kąć ów nieszczęsny bukiet Raul zauważył jednak przypiętą doń kartkę; to biedna Klara, dziwnym jakimś fatum nadsyłała mu wiadomość, która miała go ostatecznie od niej oddalić.

— „Najdroższy — pisała — daj mi znak życia, wybaw mię z tej strasznej niepewności i powiedz twojej Klarze że kochasz ją jeszcze.”

Dziś wieczorem wyjedzie ojciec a z nim jego goście; wrócą dopiero jutro późną nocą. Przyjdź, jedyny mój, odwiedzić mnie“...

Wyjeżdżają! Niezwruszony treścią tego listu Raul zastanowił się li tylko nad tym faktem i w tej chwili stanęły mu w myśli słowa Beaumagnan'a: „...udała się w okolice Dieppe, tam gdzie prowadzimy nasze poszukiwania“...

A więc oto dlaczego wyjeżdżali! I Raul postanowił niezwłocznie jechać ich śladem.

Przebrany za rybaka wsiadł tejże nocy do tego samego wagonu co baron d'Etigues i jego towarzysze. Nie spuszczać ich ani przez chwilę z oczu, przesiadał się na tych samych stacjach, nocował w tej samej co oni gospodzie, a wczesnym rankiem, uczepiwszy się między kołami ich bryki, przejechał wraz z nimi blisko dziesięć kilometrów.

Niewygodnie skulony w czasie tej przejażdżki, czuł się bardzo zadowolonym gdy przybyli na miejsce: okazało się że celem ich podróży był zamek Gueures: duży, prostokątny budynek, otoczony obszernym ogrodem, w którym pracował cały legion robotników, uzbrojonych w motyki, rydle i łopaty.

Dzięki swemu przebraniu Raul wszedł do ogrodu, niezatrzymywany przez nikogo; zmieszawszy się z tłumem robotników, począł ich wypytywać i dowiedział się w krótkce że zamek został niedawno nabyty przez markiza Rolleville, a roboty rozpoczęto dziś dopiero.

Sam markiz wraz z Roux d'Estieres, Ormont'em

baronem d'Etigues i Oskarem Bennetot stał na tarasie, dając baczenie na robotników. W pewnej chwili Raul słyszał jak rzekł do nadzorca:

— Proszę przypomnieć robotnikom że zobowiązali się oddać za nagrodą wszystko, cokolwiek znajdą przy kopaniu: bądź monety, bądź jakie przedmioty z miedzi, brązu czy żelaza“:

Jasnym było że prowadzono wszystkie te poszukiwania w jakimś, zgóry określonym celu. Raul domyślał się jakiego przedmiotu szukano tak uporczywie

Obszedł parokrotnie park i pałac, przyglądał się z nateżeniem wszystkiemu, a umysł jego pracował bezustannie.

Czas mijał; było już południe, a on nie powziął jeszcze żadnego postanowienia, choć każda upływająca chwila mogła przynieść rozwiązanie tego straszego turnieju, którego był świadkiem, oddając w ręce barona i jego przyjaciół, wraz z przedmiotem którego poszukiwali, zupełne zwycięstwo.

Godfry d'Etigues i jego towarzysze nie opuszczali tarasu; skąd widzieć mogli cały park. Naokoło tarasu biegł niski murek o balustradzie, złożonej z dwunastu słupków, z których każdy dźwigał antyczną, lecz już bardzo zniszczoną wazę.

Jeden z robotników, uzbrojony w motykę, zbliżył się ku tarasowi i począł burzyć mur; Raul na-

gle uderzony jakąś myślą, — nie troszcząc się o to że obecność jego może być zauważoną, stał tuż za pracującym i przyglądał mu się, gryząc machinalnie papierosa.

Czapka z daszkiem zakrywała mu całkowicie twarz, to też Godfroy d'Etigues, przyglądający mu się z tarasu nie poznał go, ale że właśnie skrecił sobie papierosa, a napróżno szukał zapalek, więc podszedł doń i grzecznie poprosił o ogień.

W tej jednej krótkiej chwili cały plan działania, do najdrobniejszych szczegółów zarysował się w głowie Raùla, plan niesłychanie prosty lecz wymagający zimnej krwi i pośpiechu.

Gdy baron podziękowawszy chciał się oddalić młody człowiek zdjął czapkę i odsłonił w ukłonie starannie uczesaną i wypomadowaną fryzurę, która nie mogła być fryzurą zwykłego rybaka.

Godfroy d'Etigues rzucił bystre spojrzenie na jego twarz, i, — aczkolwiek znajomość ich była tak pobieżną — poznał go odrazu.

— Znowu pan! — zawołał z gniewem — i do tego w przebraniu! Co ma oznaczać ta nowa czelność i jak ośmieliłeś się pan napastować mnie aż tutaj? Powiedziałem panu raz na zawsze, i to dość dobitnie, że odmawiam panu ręki mojej córki“.

Raul położył mu dłoń na ramieniu i rzekł rozkazująco:

— Żadnych krzyków! Mam panu coś do powiedzenia. Ale niech pan poprosi tu swoich przyjaciół.

Godefrey d'Etiques nie wiedział jak reagować na tyle zuchwalstwa.

— Cicho — komenderował Raul — niech pan sprowadzi tu swoich przyjaciół, gdyż chcę wam oddać dużą przysługę. Czego szukacie? Świecznika, nieprawdaż?

— Tak — szepnął d'Etiques zupełnie machinalnie.

— A więc ja wiem gdzie się ten świecznik znajduje. Wiem jeszcze coś co opowiem panu nieco później. Wówczas też pogadamy i o panie d'Etiques. Ale nie dzisiaj, na razie są pilniejsze sprawy. Prędko, niechże pan przywoła swoich towarzyszy.

Głos młodego człowieka był tak przekonujący, że baron d'Etiques nie opierał się dłużej. Był zresztą oszołomiony jego nagłym zjawieniem a więcej jeszcze jego słowami. To też gestem przywołał swych przyjaciół, którzy zaraz nadbiegli. — Ten młody człowiek — rzekł — mój znajomy twierdzi że mógłby nam pomóc...

Raul przerwał ostro:

— Żadnych „mógłby“ panie baronie. Mówię że mogę. Pochodzę z tych okolic, jako małe dziecko bawiłem się nieraz w tym parku z dziećmi ogrodnika,

który był zarazem stróżem pałacu i ogrodu. Otóż jednego razu pokazał nam obręcz wmurowaną w jedną z płyt piwnicy i opowiedział że za tą płytą znajduje się skrytka, dokąd dawni właściciele pałacu składali najrozmaitsze przedmioty.

Opowiadanie Raula zainteresowało spiskowców.

— Ale — zauważył Bennetot — myśmy już przeszukali piwnice bez żadnego rezultatu.

— Nie szukaliście panowie gruntownie — odparł spokojnie Raul — chodźcie za mną, zaprowadzę was do owej skrytki.

Dwoje drzwi prowadziły do piwnicy, składającej się z kilku sal.

— W trzeciej sali na lewo znajduje się kryjówka — tłumaczył Raul, który poprzednio dokładnie obejrzał piwnicę.

Przepuścił przed sobą wszystkich pięciu mężczyzn, którzy schyliwszy się szli po wązkich schodach o niskim sklepieniu.

— Ciemno choć oko wykol — zauważył Roux d'Estieres.

— Istotnie — rzekł Raul — nic w tej ciemnicy nie będziemy mogli odnaleźć, ale mam przy sobie zapalki, a obok drzwi wejściowych widziałem latarnię. Zaraz ja przyniosę.

I pędem wbiegłszy na górę zatrzasnął drzwi,

obrócił klucz w zamku, wyciągnął go i krzyknął do zamkniętych w piwnicy:

— Zaświećcież sobie wszystkie siedem ramion waszego świecznika! Leży on pod ową płytą, starannie owinięty w pajęczynę.

Słyszał jak pięciu przyjaciół poczęło w odpowiedzi walić wściekle w drzwi i zdawał sobie sprawę że stare i zmurszałe deski nie oprą się dłużej nad jakie pięć lub dziesięć minut. Ale do wykonania swego planu nie potrzebował więcej czasu.

Jednym susem wskoczył na taras, wyrwał motykę z rąk jakiegoś robotnika i podskoczywszy ku dziewiętemu z kolei filarowi zrzucił zeń wagę i z całej siły uderzył motyką w jego podstawę, która natychmiast rozleciała się w drobne kawałki. Wśród złamków cementu, kamienia i cegieł ujrzał Raul kawał zardzewiałego metalu, i rozpoznał w nim ramię jednego z tych dużych starych świeczników, jakie się widuje niekiedy w kościołach na ołtarzu.

Robotnicy, którzy natychmiast zebrali się koło Raula, wydali okrzyk zdumienia na widok jego odkrycia, była to pierwsza rzecz jaką znaleziono od rana.

Raul podniósł swą zdobycz i miał zamiar oddać się najspokojniej, tak jak gdyby wracał z nią ku właścicielowi pałacu i jego towarzyszom, lecz w tej chwili drzwi piwnicy pękły z trzaskiem a Rolleville,

Roux d'Estieres, Ormont, Bennetot i d'Etigues ukaza-
li się z po za nich i rzucili się ku Raulowi z krzykiem:

— Łapaj, trzymaj złodzieja!

Zanim otaczający go robotnicy zrozumieli co się stało, Raul wyrwał się po za ich koło i z całej siły swoich młodych muskularnych nóg, rzucił się do ucieczki. Gdyby, zamiast kraść przedmiot dla siebie zupełnie zbędny, był go odniósł staremu baronowi, zyskałby jego wdzięczność, i protekcję i zapewniłby w przyszłości swój los. Ale on w tej chwili szalonej myślał jedynie o Józefinie Balsamo, o jej radości gdy pewnego dnia wręczy jej to, czego tak poszukiwała.

Główna brama była zamknięta, co zobaczywszy Raul skrzył w bok ścieżką, która, idąc nad brzegiem niewielkiego stawu, doprowadziło go do wartywnego ogrodu, otoczonego ze wszystkich stron niezwykle wysokim murem. Wyjścia żadnego nie było i Raul zatrzymał się przerażony, oglądając się w koło, to znów po za siebie czy pogoń się zbliża.

Za ogrodem wznosił się wiejski kościółek, a tuż za nim, przylegając do muru ogrodowego, znajdował się cmentarz. Jedna z mogił leżała w samym ogrodzie, było to niegdyś miejsce wiecznego spoczynku panów de Geueures, dziś zaniedbany prostokątny kawałek ziemi, otoczony mocną sztachetą i porośnięty gęstym cisem. Raul przystanął właśnie tutaj

i w chwili gdy, rozpaczliwie rozglądał się wkoło, jakaś furtka otworzyła się za nim, a drobna ręka, wysuwając się stamtąd, uchwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą, poczem też sama ręka zatrzasnęła furtkę.

W gąszczy cisów Raul ujrzał przed sobą hrabinę Cagliostro; nie puszczać jego dłoni ze swojej prowadziła go dalej ku drugiej furtce, na cmentarz przed którym czekała bryczka. Była to jedna z tych staroświeckich bryczek jakie się widzi jedynie na wsi, zaprzężona w dwa wielkie, a chude konie. Siwobrody stangret w granatowej bluzie siedział zgarbiony na koźle.

Ruchem ręki Józefina Balsamo kazała Raulowi wsiąść, potem umieściwszy się obok niego rzuciła stangretowi:

— Przez Luneray do Doudeville! i poganiaj konie Leonardzie.

Kościół stał na końcu wioski, droga na Luneray prowadziła nieco pod górę, zdala od domów. Chude konie mknęły jak wyścigowce.

Wnętrze napozór nędznej bryczuszki było wygodne, eleganckie a tak obszerne, że Raul, który nie lubił tracić czasu, mógł paść na kolana, aby wyznać swą miłość owej towarzyszcze.

Wzruszenie jego było tak wielkie jak nieoczekiwanem było to spotkanie; śmiał się i płakał na-

przemian z radości i obejmując kolana hrabiny Cagliostro, sypał słowami, do których czuł się uprawniony w tych romantycznych okolicznościach w jakich się po raz drugi spotykali.

Jego porywcze, bezładne, chwilami wesołe, chwilami poważne słowa, mogłyby rozbroić najbardziej niedostępną kobietę.

— To pani? — mówił — to znowu pani i to zjawiająca mi się w tak cudowny sposób. Istne Deus ex machina! W chwili bowiem gdy ta banda byłaby mnie z całą pewnością dogoniła i jeśli nie zabiła to już obija, zjawia się pani jak mój dobry duch zbawczy. Jakże strasznie jestem szczęśliwy i jak strasznie panią kocham! Kocham panią od lata, od całych stuleci! Doprawdy czuję nagromadzoną w sobie miłość wieczną, miłość starą a tak młodą i piękną jak pani. Bo pani jest piękna, tak piękną że nie można patrzeć na nią bez wzruszenia! Mógłbym patrzeć całe lata na panią i podziwiać jej uśmiech, jej spojrzenie . . . ten niewchwytny wyraz twarzy pani, który stanowi taki jej urok, to coś czego nie można odczytać, nie można posiadać!

Zaczerwienił się nagle i zniżył głos.

— Pani gniewa się na mnie? — zapytał — pani tak patrzy na mnie w tej chwili. A przecież nie może pani wzbronić bym ją kochał . . .

W odpowiedzi uchyliła drzwi bryczki i rzekła:

— Ale mogę pana poprosić abyś pan wysiadł.

— O nie pani, będę się opierał...

— A jeżeli zawołam do pomocy mego stragreta?

— Niech pani tego nie czyni. Gotów jestem go zabić.

— A jeśli wyskoczę sama z bryczki?

— Skaczę za panią i będę dalej prawil o mojej bezgranicznej miłości.

Mimowoli roześmiała się.

— No więc niech już pan pozostanie! Ale proszę zachowywać się poważnie. Chcę wiedzieć co znaczyło całe to zamieszanie i ta pogoń za panem?

— Opowiem pani wszystko — odparł radośnie — gdyby pani wiedziała jak jestem szczęśliwy że mnie pani nie odpędziła i że pani przyjmuje moje wyznanie...

— Ależ nic nie przyjmuje mój panie — zaprzeczyła ze śmiechem — bez żadnej zachęty z mojej sfony prześladowuje mnie pan swoimi oświadczeniami choć mnie pan nie zna.

— O ja znam panią doskonale!

— Widział mnie pan raz w nocy, przy białym świetle latarni i oto cała nasza znajomość.

— Przepraszam panią, miałem szczęście podziwiać panią w dniu poprzedzającym tę noc. Nie

odrywałem oczu od pani, przez cały czas owego okropnego sądu.

Twarz jej nagle spowaźniała.

— Więc pan się tam znajdował — rzekła, patrząc bystro na młodzieńca.

— Byłem tam — przerwał — i stąd wiem wszystko o pani. Znam cię piękna masko! Jesteś córką Cagliostro, wychowanką wielkiego Napoleona, zdradziłaś Napoleona III i popchnęłaś do samobójstwa dzielnego generała Boulanger! Posiadasz eliksir młodości... liczysz kilkaset lat i ja cię kocham do szaleństwa!

Głęboka bródka sfałdowała jej czoło; jakby nie słysząc nic z tego co mówił, powtórzyła w zamysleniu.

— Pan tam był... tak, domyślałam się tego. Widział pan co musiałam przejść i słyszał pan te bezsensowne obwinienia.

— Słyszałem te absurdy — widziałem bandę niegodziwców, którzy wszyscy nienawidzą panią tak jak muszą nienawidzić to wszystko co jest piękne. Ale nie myślmy o tem; chcę wierzyć że pani jest wiecznie młoda, że pani nie może umrzeć, a żyje pani po to abym mógł ją kochać. Chcę pamiętać że jesteśmy teraz razem i że pani jak wróżka wyjrzała z tego gaju cisów aby mnie wyratować i przywołać do siebie.

— Wiedziałam że będą dzisiaj szukali — odparła pochmurnie — i weszłam przez tę starą boczną furtkę chcąc choć zdala, mieć ich na oku.

— Szukali istotnie. Niech pani tylko pomyśli: od tygodni, od miesięcy może, rozkopują ten park w poszukiwaniu siedmioramiennego świecznika, który ja znajduję w przeciągu kilku minut, kierowany tylko myślą sprawienia pani przyjemności!

— Twarz jej pobladła ze wzruszenia.

— Co pan mówi? — szepnęła — pan znalazł?..

— Niestety nie cały świecznik, ale w każdym razie jedno z jego siedmiu ramion.

Józefina Balsamo wzięła podawany jej przez młodzieńca, kawałek metalu i poczęła mu się przyglądać z jakąś gorączkową niecierpliwością: był on okrągły, pokryty grubą warstwą rdzy, a jeden z jego końców, jakgdyby nieco splaszczony, dźwigał duży fioletowy kamień.

— Tak, tak — szeptała — to on. Niema żadnej wątpliwości. Ramię musiało zostać odpiłowane u samej podstawy. Ach pan nie może nawet zdać sobie sprawy jak nieskończenie jestem panu wdzięczna!

Zachęcony jej podziękowaniem Raul w malowniczych słowach kreślił przebieg całego zdarzenia, hrabina Cagliostro nie mogła wyjść z podziwu:

— Ale skąd przyszło panu do głowy szukać tam właśnie? I jakimż dziwnym trafem wybrał pan dziewiątą kolumnę z prawej strony? Dziewiątą a nie którąkolwiek inną?

— To nie był traf. Miałem dane sądzić, że świecznik tam jest ukryty, zauważyłem bowiem, że z dwunastu kolumn — jedenaście datuje z XVII stulecia, ta jedna, dziewiąta właśnie — była późniejszego pochodzenia.

— Skąd mógł pan to wiedzieć?

— Jedenaście zbudowane były z cegły jakiej nie wyrabiamy od dwustu lat przeszło; dziewiąta kolumna na prawo zrobiona była z cegły używanej po dziś dzień. Stąd prosty wniosek iż kolumnę tę musiano w swoim czasie zburzyć, a potem znów wznie-
siono. A zburzono prawdopodobnie poto aby tam coś ukryć.

Józefina Balsamo milczała przez długą chwilę; wreszcie rzekła zwolna:

— To nie do wiary. Nigdy mi coś podobnego nie przyszło do głowy.... przez tyle czasu. I tam gdzie się tyle osób namęczyło napróżno, panu udało się odrazu! To zakrawa na jakiś cud.

— Cud miłości — szepnął Raul.

Konie mknęły z zawrotną szybkością, przestrzezi ani droga nieco wyboista, i nierówna nie zdawały się ich męczyć. Wioski, pola, lasy, łąki migały z dwóch stron bryczki, zmieniając się bezustannie.

— Czy Beaumagnan był między nimi? spytała hrabina.

— Niestety dla mnie, a szczęściem dla niego był nieobecny. Nie byłby mi uszedł cało, bo mało kto jest mi tak wstrętny jak on.

— Ja nienawidzę go bardziej jeszcze.

— Ale pani — zauważył Raul nie mogąc ukryć swojej zazdrości — darzyła go kiedyś innym niżli nienawiść uczuciem.

— To kłamstwo, brudny wymysł tego człowieka — odparła — Beaumagnan jest tak chorobliwie próżnym, że ukuł całe to oszczerstwo aby pomścić się na mnie za to, że odepchnęłam jego miłość. Jak pan słyszał zresztą, zrobiłam mu ten zarzut zupełnie otwarcie a on nie protestował. Nie miał czelności protestować.

Raul znów padł na kolana.

— Tymi słowy pani wraca mi życie — zawołał — więc pani go nie kochała?

Ach, pani nie może sobie wobrazić jaką męką była ta myśl dla mnie. Dzisiaj widzę że to było niepodobieństwem: Józefina Balsamo i pan Beaumagnan!

Uderzony jakąś nagłą myślą zaczął klaskać w dłonie.

— Najdroższa moja: Józefina to takie brzydkie, uroczyście imię! Dla mnie będzie pani Jozyna, do-

brze? Jozyną jak dla Napoleona i pięknej pani Beauharnais.

— Niech pan pamięta jednakże — uśmiechnęła się przekornie — iż nie jestem pańską Jozyną. Wymagam dla siebie szacunku.

— Ale ja mam nietylko szacunek ale prawdziwą cześć dla pani. Jest pani moim bóstwem, które chcę wielbić dniem i nocą. Niechże pani spojrzy, ja drzę przed panią. Bez pani zezwolenia nie ośmielę się nawet pocałować jej ręki.

POLICJA I ŻANDARMI.

Jechali długo, a cała ta droga była jednym monologiem ze strony Raula, gdzie słowo „kocham“ powtarzało się bezustannie. Opowiadał, nie troszcząc się czy jest słuchanym, pytał, nie czekając na odpowiedź.

Józefina Balsamo przysłuchiwała mu się z poślazaniem z jakim niekiedy starsi przysłuchują się miłemu szczebiotowi dziecka; ale milczenie, którego nie przerwała ani razu, zdradzało iż myśl jej zajęta była czem innym.

Zachowanie jej zniecierpliwiło wreszcie Raula.

— O proszę, niechże pani odezwie się do mnie — rzekł — staram się być wesołym aby w formie żartu wypowiedzieć uczucia, których nie śmiałbym wyra-

zić inaczej. Ale kiedy widzę pani oczy zdaje mi się żem albo znudził, albo obraził panią. Czy nie może pani znaleźć doprawdy choć kilku słów dla mnie?

Uśmiechnęła się zlekka.

— Kilku słów tylko? i wszystko jedno jakich?

— Zadawałam się małym.

— A więc dobrze. Zwracam panu uwagę iż zbliżamy się do Doudeville, skąd będzie pan mógł jechać w dalszą drogę pociągiem.

— A pani? Co pocznie pani bezemnie?

— Mój Boże! — roześmiała się — będę się starała radzić sobie tak jak radziłam dotychczas.

— O nie, na to ja się nie zgodzę. Czuję, że pani nie umie już obejść się bezemnie. Niech mi pani wierzy, że pomoc moja jest jej niezbędna dla walki z Beaumagnan'iem, i tą zgrają bandytów na jaką się składa dziewięciu jego przyjaciół.

— Pan zapomina, że dla nich utonąłam.

— Tembardziej, droga moja. Cóż może pani począć skoro pani utonąła?

— Upewniam pana że potrafię działać tak aby się nie domyślili nawet że żyję.

— Pomówimy poważnie— rzekł Raul, krzyżując ramiona, — ofiarowuję pani moją pomoc i chciałbym aby ją pani przyjęła. Są okoliczności w których kobieta nie może sobie poradzić, i w tych to

właśnie pragnę służyć pani. O, zupełnie bezinteresownie, proszę mi wierzyć, tak jak się służy czemuś co jest piękne i szlachetne. Beaumagnan nienawidzi panią. Przekonała się pani, że człowiek ten waży się na wszystko aby przeszkodzić pani w osiągnięciu celu, który jest i jego celem. Ukłócił cały spisek przeciwko pani, obsypał panią zarzutami, a uczynił to tak zręcznie iż ja sam przez chwilę patrzyłem na panią jego oczyma i byłbym przysiągł, iż pani jest czarownicą lub zbrodniarką. Teraz wstydzę się tego ale jest to właśnie dowodem co potrafi ten człowiek i że nie powinna pani odtrącać mojej pomocy w walce z nim.

— Uległa mu. Minęli więc Daudewille i po pół godzinie dalszej jazdy zatrzymali się przed wiejskim zajazdem.

— Wsiądźmy — rzekła hrabina Cagliostro, — folwarczek ten należy do pewnej wieśniaczki, która kiedyś służyła u mnie jako kucharka. Od czasu, do czasu przyjeżdżam tutaj na kilkodniowy odpoczynek przejdziemy piechotą do domku mojej gospodyni, matki Vasseur, i tam zjemy obiad. Leonardzie bądź gotów do odjazdu za jakąś godzinę.

Skreśli na szosę, hrabina szła nieco naprzód a Raul, idąc o kilka kroków za nią nie mógł oderwać oczu od jej kształtnej sylwetki, podziwiał jej ruchy, lekkie jak ruchy młodego dziewczęcia. Ubrana była w szarą obcisłą sukienkę i liljowy kapelus, związa-

ny szerokimi aksamitkami pod brodą i podpięty bukciecikami fijołków.

Minęli plebanję z jej małym, pełnym kwiatów ogródkiem, i zbliżyli się do niewielkiego budynku, którego uchylone drzwi prowadziły wprost do obszernej, biegnącej przez cały dom, sali.

Z pokoju obok dobiegały jakieś męskie głosy.

— Któż tam jest? — zapytał Raul, który wchodząc obejrzał się bystro wkoło.

— To pewnie matka Vasseur rozmawia z wieśniakami. W tamtym pokoju zazwyczaj jadamy.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do sali weszła staruszka, opasana wielkim bawełnianym fartuchem i obuta w saboty.

Ujrawszy Józefinę Balsamo zamknęła za sobą szczelnie drzwi i z widocznym przerażeniem poczęła bąkać jakieś bezładne zdania, których nie można było zrozumieć.

— Co się stało? zapytała z niepokojem hrabina.

Prędzej... prędzej, niech pani ucieka! niech się pani ratuje!

— Ale dlaczego? Przed czem uciekać? Co tutaj zaszło?

Z wielkim trudem matka Vasseur zdołała wykrztusić następujące słowa:

— Była tu policja... żandarmi..., przetrząsnęli kufry..., szukają pani..., zaraz wróca, niech pani ucieka w tej chwili!....

Hrabina zbladła jak płótno i zachwiała się tak silnie że musiała oprzeć się o ścianę. Oczy jej pobiegły ku Raulowi, jakgdyby u niego szukała pomocy. Vasseur — trzeba w tej chwili uciekać.

Blady, nie rozumiejąc jeszcze dobrze całej sytuacji ale zdając sobie sprawę z jej grozy, Raul

A on patrzył to na nią, to na matkę Vasseur, nie mogąc opanować swego zdumienia.

— O co chodzi? wyrzekł wreszcie — przecież to musi być pomyłka. Ci żandarmi nie mogą naprawdę szukać pani....

— Jej, jej szukają — powtarzała uparcie matka

Ale cofnęła się od progu, szepcząc z wysiłkiem:

— Żandarmi... już tu.. są.,, dojrzeli mnie.,,

Niepodobna było już wyjść. Matka Vasseur drżała całym ciałem, powtarzając w kółko:

— Żandarmi... policja...

— Cicho — zakomenderował Raul, odzyskując nagle spokój — wielu jest policjantów?

— Dwóch.

— I żandarmów również dwóch. Niema więc chwycił hrabinę za ramię i popchnął ją ku wyjściu.

mowy o walce. Musimy działać inaczej. Gdzie są kufry pani?

— Na strychu.

— Gdzie są schody na strych?

— Tutaj — wskazała włóścianka.

— Doskonale. Pozostańcie tutaj moja kobieto, i nie zdradźcie w niczem naszej obecności. Resztę ja biorę na siebie.

Znów ujął hrabinę za ramię i pociągnął ją za sobą na górę, po wąziutkich schodach. Kufry stały otworem, a suknie i bielizna hrabiny leżały porozrzucane wokoło. Raul zobaczył przez okno iż policjanci wyszli z domu na podwórko, a żandarmi, którzy nań właśnie wjechali, zeskoczyli z koni i zaczęli je przywiązywać u płotu.

Józefina Balsamo przyglądała się temu jak skamieniała; w ciągu kilku tych chwil twarz jej, pod wpływem strachu, raptownie postarzała.

— Niech się pani przebierze — mówił cicho ale spokojnie Raul, — nie zwlekając, i niech pani włoży jaką czarną suknię.

Odwrócił się znów do okna; a gdy była już przebrana, wziął jej szarą sukienkę leżącą na ziemi i włożył ją obciągając nisko, aby mu zakryła nogi. Dzięki temu, że był szczupły, a nie zanadto wysoki suknia leżała na nim bardzo dobrze. Wydawał się

tak zachwycony swoim przebraniem iż, pod wpływem jego wesołości, hrabina uspokoiła się,

Tymczasem na dole żandarmi prowadzili z policjantami ożywioną rozmowę, której żadne słowo nie uszło uszu Raula i jego towarzyszki.

Jeden z żandarmów dopytywał się właśnie:

I jesteście pewni, że zatrzymała się tutaj?

— Najzupełniej pewni. Znaleźliśmy tutaj jej dwa kufry; na jednym wypisane było jej imię: Pellegrini. A przytem matka Vasseur... znacie matkę Vasseur?

— Ja myślę, że ją znamy.

— Otóż matka Vasseur powiedziała nam iż owa pani Pellegrini spędza u niej od czasu do czasu kilka dni.

— Odpoczywa sobie tutaj między dwoma kradzieżami.

— Najprawdopodobniej.

— To ta pani Pellegrini jest niezłą zdobyczą?

— Pyszna. Ta kobieta jest oskarżona o grube kradzieże, włamania się, szantaże.

Jednym słowem co się chce. No i ma za sobą całą zorganizowaną bandę.

— Czy macie jej rysopis?

— Nawet dwojaki. W jednym podana jest za

osobę młodą, w drugim za starszkę. Wiek między trzydziestką a sześćdziesiątką.

— Wszyscy czterej roześmieli się, a potem pierwszy głos znowu zapytał:

— Jakżeście wpadli na jej ślad?

— Dowiedzieliśmy się iż dwa tygodnie temu znajdowała się w Rouen i w Dieppe. Stamtąd znikła bez śladu. Niewiadomo czy udała się do Hawru, czy do Fecamp? Nie mogliśmy jej nigdzie znaleźć.

— Skądżeż wpadliście na pomysł szukania jej tutaj?

— Na skutek najprostszego przypadku. Tragarz kolejowy, który ładował kufry, spostrzegł na jednym z nich, pod nawpół odklejoną etykietą hotelową imię Pellegrini. Zapamiętał to imię dzięki czemu znów wpadliśmy na trop.

— A wybadaliście innych gości matki Vasseur?

— O, tutaj nikt inny nie mieszka?

— Jakto nie mieszka? Tylko co widzieliśmy tu jakąś damę.

— Damę? tutaj?

— Ależ tak. Nadjeżdżaliśmy właśnie gdy wychodziła z domu, ale cofnęła się natychmiast, tak jakby się bała aby jej nie zauważono.

— Kobieta tutaj? czyżby to była ona?

— Nie widziałem jej twarzy, ale wiem jak była ubrana. Miała na sobie szarą suknię, i kapelusz z takimi bukietkami fijołków....

Rozmowa urwała się.

Raul i hrabina wysłuchali jej od początku do końca. Z każdym słowem twarz młodego człowieka stygła, jakby twardniała w jakimś zaciętym wyrazie; stał bez ruchu, nie zdradzając swych uczuć najłżejszym szeptem. W jej spojrzeniu malował się strach, ale nie było cienia oburzenia czy protestu.

— Nadchodzą — rzekł wreszcie Raul — za chwilę znajdą panią tutaj a wówczas jest pani zgubiona. Nie mamy czasu do stracenia. Niech mi pani da swój kapelusz.

Wziąwszy go z jej rąk, nasunął na głowę tak aby zakryć nim twarz, a zarazem uwidocznic fijołki. Poczem udzielił jej kilka wskazówek.

— Otworzę pani drogę. Niech pani z tego natychmiast skorzysta i wyjdzie stąd aby udać się do zajazdu gdzie czeka Leonard. Konie muszą być gotowe do odjazdu natychmiast.

— A pan?

— Przyjdę za dwadzieścia minut.

— A jeśli pana aresztują?

— Nie aresztują ani mnie ani pani. Ale prze-

dewszystkiem spokoju. Niech pani idzie wolno. Nie spieszyć się, nie biedz pod żadnym pozorem!

Wyjrzał przez okno. Policjanci i żandarmi weszli już do domu; nie tracąc ani chwili wyskoczył przez okno, i wydawszy przeraźliwy krzyk strachu, jakgdyby wywołanego widokiem uzbrojonych mężczyzn, rzucił się do ucieczki.

Niepodobna było nie zauważyć go; wołano za nim:

— To ona! Chwytać ją! To ona! Szara suknia i kapelusz z fijołkami. Stać, stać bo strzele.

Jednym susem przesadziwszy płot pędził przez pole a później przez las; i znów przez jakieś pole, przez niewielką łączkę aż wreszcie wpadł na wąską ścieżkę, okoloną z obu stron gęstym żywopłotem, a prowadzącą najwidoczniej na jakiś inny folwark.

Tutaj obrócił się; wyprzedził sporo swoją pogoń i znikł jej narazie z oczu. Nie tracąc więc czasu zerwał z siebie kapelusz, suknię i wsunął je za żywopłot. Poczem wyciągnął z kieszeni swoją czapkę rybacką, z fantazją włożył ją na głowę i, zapaliwszy papierosa, a ręce wsunawszy niedbale w kieszenie spodni, zawrócił tą samą drogą.

Na zakręcie wpadli nań dwaj zdyszani policjanci.

— Hej, panie rybaku, nie widzieliście tu gdzie kobiety w szarej sukni?

- Leciała jak warjotka, tak?
- Otóż to właśnie. Gdzie ona?
- Widziałem że biegła tędy na folwark.
- Którędy?
- Tą samą ścieżką.
- Dawno temu?
- Może z pół minuty.

Policjanci pobiegli we wskazanym kierunku a Raul szedł spokojnie swoją drogą; kilka kroków dalej spotkał obydwu żandarmów i minął ich pozdrowiwszy uprzejmym skinieniem głowy. Wkrótce był już na szosie.

O parę metrów od zajazdu stała bryczka, Leonard siedział na koźle z batem w ręku, Józefina Balsamo, wtulona w kącik, dojrzała go zdaleka i otworzywszy drzwiczki dawała mu nagłać znaki.

Nie spiesząc się wsiadł i rzucił Leonardowi:

— Do Ivetot.

— Ale w takim razie musimy znów spotkać się z nimi — zaoponowała hrabina — wszak będą wracali tędy.

— Na szosie nikt nas nie zatrzyma, droga jest równa, wygodna. Pojedziemy wolno, opieszale aby nie wzbudzić podejrzeń. Jedź jak za pogrzebem, Leonardzie.

Stępem przejechali koło zajazdu, plebanji i domu matki Vasseur; policjanci i żandarmi wracali doń właśnie. Jeden z nich niósł szarą suknię, i zakurzony kapelusz, wszyscy gestykulowali, krzycząc.

— Odnaleźli w krzakach te rzeczy i domyślili się wybiegu. Teraz będą szukali rybaka, ale nigdy nie przypuszcza, że znajduje się on w tej bryczce tuż obok jejmość pani Pellegrini. Gdyby to wiedzieli.... ba ciekaw jestem czyby się bardziej śmieli czy irytowali.

— Wezmą na spytki matkę Vasseur.

— Miejmy nadzieję, że starowina jakoś się wykreści.

Gdy ujechali kilkadziesiąt metrów, Raul kazał popędzić konie.

— Oho — rzekł, przyglądając się im krytycznie — te biedne zwierzęta wyglądają mi na bardzo zmęczone. Boję się że nie wytrzymają długo. Jak dawno są w drodze?

— Od rana. Jadę z Dieppe, gdzie nocowałam.

— I dokąd pani jedzie?

— Aż nad brzeg Sekwany.

— Tam do licha! Szesnaście albo siedemnaście mil w jednym dniu i w takim tempie! To nie do wiary.

Nie odpowiedziała nic.

Między dwiema szybkami, na przodzie bryczki znajdowało się wąskie lustro w którym mógł widzieć jej odbicie. Z ciemnego toczka jakim zastąpiła swój liljowy kapelusz, spływał gęsty welon, przysłaniając jej twarz; odrzuciła w tył ten welon i zdjąwszy z siatki maleńki nesoser, poczęła zeń wyjmować lustra, grzebienie, szminki....

Wreszcie znalazła to czego szukała: niewielkie lustro w którym przyglądała się długo swej zwiędłej postarzałej twarzy.

Odkorkowawszy mały flakonik nałała zeń kilka kropel na powierzchnię lustra, wytarła je kawałkiem jedwabiu i znów wpatrzyła się w swoje odbicie.

Raul, który patrzył na nią, nie rozumiejąc jej zabiegów, zauważył iż oczy jej przybrały wyraz skupiony tak jakby cała jej wola skoncentrowała się w jej spojrzeniu.

Minęło dziesięć, piętnaście minut; nie mówiła ani słowa, zdawała się nic nie widzieć wokoło, zapominać o wszystkim co ją otaczało, oczy jej z niezwykłym, niemal bolesnym napięciem wpatrzone były w lustro. I stopniowo twarz jej poczęła się zmieniać: kąciki ust podniosły się w górę, włosy usta i zęby nabrały blasku, policzki zaokrągliły się i zabarwiły, skóra na czole, brodzie, na szyi zdawa-

ła się ściągać. Józefina Balsamo, z jej zagadkowym uśmiechem, z jej niezwykłą urodą wyrzała najprzód blado, potem coraz wyraźniej z twarzy tej nagle postarzałej kobiety, aż wreszcie cud spełnił się i zdumiony Raul ujrzał przed sobą postać jaśniejącą niezaprzeczoną urodą młodości.

Ale młody człowiek nie wierzył w cuda. I to czego był świadkiem wydało mu się wytworem żelaznej woli, niezłomnej wiary w siebie, wpływem jasnej myśli, potężnego ducha na słabą materję. Flakon, lustro, chęć — zdawały mu się tylko akcesorjami obliczonymi na wywołanie efektu.

Gdy odłożyła lusterko, wziął je i obejrzał uważnie; było to najwidoczniej to samo które Godefroy d'Etigues opisywał na owem pamiętnem zebraniu jako cudowne lusterko Cagliostro. Złota jego oprawa była silnie porysowana, herb hrabiowski zdobił jego podstawę, a pod nim znajdowała się wyryta data rok 1783, i cztery zagadki Cagliostra.

Wiedziony dziwną chęcią zrobienia przykrości swej towarzysze, Raul zauważył drwiąco:

— Ojczulek pani zostawił jej bezcenny spadek. Jak się przekonuję talizman ten zacięra przykre skutki najsilniejszych wzruszeń.

— W istocie przyznać muszę — odparła — iż straciłam głowę, co zresztą rzadko mi się zdarza.

Dotychczas radziłam sobie w stokroć gorszych okolicznościach.

— W gorszych? I to stokroć?... — szepnął powątpiewająco.

Umilkli. Konie mknęły równym wyciągniętym kłusem.

Hrabina Cagliostro znów przysłoniła twarz wełnonem. Raul siedział ze skrzyżowanymi rękoma i wyglądał przez okno. Czuł że nie było nic wspólnego między nim a tą kobietą, która jeszcze kilka godzin temu była mu tak bliską. Jej zagadkowa dusza odkryła mu jedną ze swych stron, a strona ta była tak czarna, iż Raul mimowoli wzdrygnął się.

Jakże różną była rzeczywistość od jego marzenia!, te oczy tak cudne, ten czysty uśmiech — kryły duszę szantażystki i złodziejki. Miłość, którą z takim entuzjazmem składał niedawno u jej stóp wydała mu się w tej chwili śmieszną i wstrętną. Gdyby miał siłę zdobyć się na decyzję byłby otworzył drzwi bryczki i ratował się ucieczką. Ale czuł się tak zmęczonym, i rozbitym iż nie mógł uczynić kroku. Gorzkie uczucie rozczarowania ścisnęło go za gardło, a myśl jego pobiegła ku Klaryssie d'Éti-gues, ku temu dziewczęciu, co z takim naiwnym zaufaniem, z dziewiczą niewinnością oddało mu całe swe życie.

Józefina Balsamo nie wyrzekała się jednak tak łatwo swych zdobyczy; aczkolwiek idealny jej obraz rozwił się bez śladu, pozostała przecież jej uroda, uroda tak potężna że zdolna jeśli nie zatrzeć to przytłumić wszelkie ujemne wrażenia. Zapach jej perfum łącząc się z zapachem jej ciała słodką falą objął Raula budząc w nim z nową siłą namiętność.

— Josyno, Josyno moja! — szepnął cicho, aby go nie mogła usłyszeć.

Na cóż miał mówić? Raz straconego zaufania już nic nie mogło wrócić, poniżona i sponiewierana miłość nie mogła odzyskać swojego uroku.

Zbliżano się do Sekwany. Bryczka toczyła się po szosie wiodącej ku Rouen; zboczywszy nieco, Leonard wstrzymał konie przed niewielkim gajkiem z za którego widać było błękitną wstęgę rzeki. Gdy Raul i hrabina wysiedli konie ruszyły szosą dalej.

Józefina Balsamo uszła parę kroków, poczem zwracając się ku towarzyszowi wyciągnęła doń rękę i rzekła:

— Do widzenia Raulu. Czas nam się rozstać. Za kilka minut dojdzie pan do stacji Maillerie, skąd...

— A pani? — przerwał.

— O ja mieszkam tutaj, tuż blisko.

— Nie widzę żadnego budynku.

— Mój domek kołysze się na falach Sekwany. Widzi pan tę barkę tuż przy brzegu? Oto gdzie mieszkam.

— A więc odprowadzę pania.

Szli wąską miedzą, dzielącą łąkę na dwie nierówne części; hrabina wyprzedzała Raula o parę kroków.

Zatrzymali się u stóp niewielkiego pagórka, tuż nad brzegiem, o kilkadziesiąt kroków od barki, oddzieleni od niej gęstą zasłoną krzewia. Nie było nikogo wokół, nikt nie mógł słyszeć ich ani widzieć, tylko niebo świeciło nad nimi najczystszy szafirem, a leciutki zefir kołysał bujny szmaragd łąki. Była to jedna z tych chwil która decyduje o życiu człowieka, a których pamięć nie zacierają nigdy.

— Pożegnajmy się — szepnęła Józefina Balsamo, po raz drugi wyciągając rękę.

Ale on i tym razem ręki tej nie ujął; wówczas zapytała:

— Nie chce pan przyjąć mojej dłoni?

— Ależ tak... owszem. Tylko nie wiem czemu mielibyśmy się rozstać?

— Bo nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

— Już nic, a jednak nie powiedzieliśmy sobie nic prawie.

Ujął jej wąską białą rękę w swoje obydwie dłonie i zapytał.

— Niech mi pani powie... niech mi pani powie otwarcie czy słowa tych ludzi, tam, u matki Vasseur, czy te słowa były prawdą?

Pragnął aby mu zaprzeczyła, aby choć za cenę fałszu mógł ludzić się jeszcze trochę, ale zdziwiona, jakby dotknięta jego pytaniem, rzekła:

— Pod jakim względem może to pana obchodzić?

— Jakto?

— Moznaby doprawdy sądzić że to czego pan dzisiaj był świadkiem wpłynęło na zmianę pańskiego postępowania.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Ależ to bardzo proste. Chcę powiedzieć że rozumiałabym pańskie oburzenie gdyby było ono wywołane fałszywym i bezsensownymi oskarżeniami Beaumagnan'a, ale dziwi mię że muszę je przypisać temu co zaszło dzisiaj.

— Nie mogę zapomnieć tego com słyszał.

— To co pan słyszał w Hais d'Etiques, nie stosowało się do mnie. Mówiłam już to panu, i głośno wskazałam wówczas winowajczynię. Jest nią markiza de Betrainte. A co się tyczy przewinień jakie

zarzucano mnie dzisiaj, to sądzę że nie warto aby o nich wspominać.

Był tak zaskoczony takim postawieniem kwestji iż nie mógł narazie znaleźć odpowiedzi, ona zaś, ciągnęła dalej nieco ironicznie:

— A może to wicehrabia Raul d'Andressy czuje się dotkniętym w swych arystokratycznych przesądach, w swych dziedzicznych tradycjach honoru uczciwości, etyki?

— A gdyby tak istotnie było? Czyż nie mam powodu czuć się rozczarowanym?

— Brawo! Nareszcie dotarliśmy do jądra sprawy. Jest pan rozczarowany, zapewne boleśnie rozczarowany. Gonił pan za pięknym snem, który rozwiał się bez śladu, zostawiając gorzkie wspomnienie. Niechże pan będzie szczerym do końca. Spotkał pana ciężki zawód, tak?

Odparł sucho i krótko:

— Tak.

Przez chwilę patrzyła nań uważnie; potem spytała:

— Uważa mnie pan za złodziejkę, zwykłą złodziejkę, czy tak?

Odpowiedział znowu, jeszcze suszej:

— Tak.

Roześmiała się nagle i rzekła:

— No a pan?

I kładąc mu dłoń na ramieniu, ciągnęła rozkazująco, przechodząc nagle poufale i niemal szorstko na „ty“.

— A ty, a ty mój mały? Zrzucź także twą maskę i powiedz mi kim ty jesteś?

— Przedstawiłem się pani. Jestem Raul d'Andressy.

Nieprawda, mój mały. Nazywasz się Arsene Lupin, i jesteś synem Teofrasta Lupin'a, który po za boksem, gimnastyką i fechtunkiem uprawiał zawodo kradzież, był sądzony w Stanach Zjednoczonych i umarł w więzieniu. Twoja matka wróciła ze wstydu do swego panieńskiego nazwiska, i przebywała w chrakterze ubogiej krewnej — rezydentki u swego dalekiego kuzyna, księcia de Dreux—Soubise. Przypomnij sobie jak pewnego pięknego poranka skradziono księżnej historyczny klejnot, olbrzymiej wartości: ni mniej ni więcej jak sławny naszyjnik Marji — Antoniny. Pomimo poszukiwań nie odnaleziono naszyjnika ani nie wykryto złodzieja. Ale zdaje mi się iż my oboje znamy go dobrze: to ty nim byłeś, a miałaś wówczas sześć lat!!

Raul słuchał, błądy ze wściekłości i wstydu; wreszcie wyjąkał:

— Matka moja znosiła biedę i upokorzenie. Chciałem ją ratować...

— Za pomocą kradzieży?

— Miałem zaledwie sześć lat.

— Ale dzisiaj masz ich dwadzieścia; matka twoja już nie żyje a ty jesteś zdrowy, inteligentny i pełen energii. Powiedz mi co robisz, z czego żyjesz dzisiaj?

— Pracuję.

— O wiem że trudnisz się nie mało — kradnąc.

Nie dając mu czasu do obrony ciągnęła dalej:

— Nie upieraj się Raulu, to zbyt bezczelne. Śledzę cię oddawna i mogłabym ci przypomnieć rozmaite twoje uczynki z bliższej i dalszej przeszłości, które w niczem nie ustępują temu coś słyszał dziś o mnie u matki Vasseur. I ty, tak jak ja, znasz się z policją, żandarmami, sądem i aresztem, a masz zaledwie dwadzieścia lat. I zdaje ci się że masz prawo sędzić innych, dlatego że przypadek ukazał ci dzisiaj rąbek mego życia. Ale ja za to znam twoje do najdrobniejszych szczegółów wiem że kradniemy oboje, ale dlatego właśnie że to robimy — nie mówmy o tem. Rzućmy zasłonę na to co jest w nas brzydkiem, zamiast nawzajem wyrzucać je sobie.

Nie oponował. Czuł się tak bezmiernie moralnie

zmęczonym iż łyzi dusiły mu gardło. Życie wyda-
wało mu się płaskie, odarte z wszelkiego powabu,
bez żadnej wartości.

— Po raz ostatni żegnam Cię Raulu.

— Nie... nie — szepnął żałośnie — nie trzeba.

— Przeciwnie: trzeba. Przyniosłabym ci tylko
nieszczęście. Nie wiąż twego życia z moim. Jesteś
ambitny, energiczny, zdolny.. cała przyszłość przed
tobą.

— A ty?

— Ja? — powtórzyła cicho — moja droga nie
jest dobrą drogą.

— Więc czemu nie idziesz? To właśnie tak bar-
dzo mnie boli Josyno.

— Dla mnie już zapóźno.

— I dla mnie też.

— Ty jesteś młodym. Możesz się jeszcze rato-
wać i powinieneś uciekać przed tą straszną przyszło-
ścią, która ci grozi.

— I zostawić mam ciebie?

— Takim jest już moje życie.

— Ohydne życie, ciężkie, brzydkie.

— A więc po co chcesz je dzielić?

— Bo cię kocham

— Tembardziej uciekaj. Ty i ja nie powinniśmy się kochać. Ty musiałbyś się mnie wstydzić, a ja nie mogłabym ci ufać.

— A jednak kocham cię.

— Kochasz mnie dzisiaj. Czy będziesz jeszcze kochał jutro? Wierzaj mi Raulu że lepiej postąpisz stosując się do prośby jaką ci wypisałam na mojej fotografii: nie staraj się nigdy mnie odszukać.

— Tak — szepnął Raul — być może że masz rację. Ale boli mnie ta myśl że wszystko między nami się skończyło zanim jeszcze zdążyło naprawdę się zacząć. Tyle, tyle marzyłem o tobie, a ty mnie zapomnisz....

— Czyż można zapomnieć człowieka któremu się zawdzięcza życie?

— Zachowasz mi może wdzięczność ale zapomnisz że cię kochałem.

— Nie zapomnę nigdy.

Mówiąc to potrząsnęła głową, i nagle przechodząc znów na „pan“ ciągnęła ze wzruszeniem:

— Pańska przytomność umysłu, odwaga, ta dziwna szczerłość, i to czego w panu zrozumieć jeszcze nie mogę, ale co mnie czaruje i porywa — nie, tego nie zapomnę.

Trzymali się ciągle za ręce. Raul nie spuszczał z niej oczu, a niewypowiedziana tkliwość przepelniała mu serce.

— Kiedy dwoje ludzi się rozstaje — rzekła łagodnie — i to rozstaje na zawsze, powinni zwrócić sobie to wszystko, co od siebie nawzajem otrzymali, a więc proszę pana o zwrot mojej fotografii.

— Nigdy — odparł — nie mogę się z nią rozstać.

— A więc ja będę bardziej wspaniałomyślna — rzekła z dziwnym uśmiechem — i oddam panu to co od niego otrzymałam.

— Co takiego Josyno?

— Owej nocy.... w stodole.... czułam przez sen jak pan złożył na moich ustach pocałunek....

Zarzuciła mu obie ręce na szyję i przywarła wargami do jego warg w gorącym długim uścisku.

— Josyno — szepnął, gdy wreszcie oderwali się od siebie — Josyno rób ze mną co ci się spodoba. Kocham cię, kocham bez granic...

Szli brzegiem Sekwany. Trawa ugiwała się pod ich stopami, gałązki krzewów pochylały się jakgdyby w ukłonie. Szli spleceni silnym uściskiem, bez żadnych myśli, prócz myśli o szczęściu, jakie pierwszy dzień miłości obiecuje wszystkim kochankom.

— Jeszcze jedno słowo, mój Raulu. Taka zazdrość, taka wyłączność rodzi się we mnie gdy jestem przy tobie. Przyznaj się: czy jest jaka kobieta prócz mnie?

— Niema żadnej.

— Otóż i pierwsze kłamstwo — powiedziała gorzko.

— Nie skłamałem droga.

— A Klaryssa d'Etigues? Widywaliście się skrycie w gajach, na łąkach. Wyśledzono was.

— Stare dzieje — rzekł z rozdrażnieniem — bez poważniejszego znaczenia.

— Przysięgasz mi?

— Przysięgam.

— A więc dobrze — rzekła chmurnie -- tem lepiej dla tej smarkatej. Radzę jej aby nigdy nie ważyła się stanać między nami.

Raul przytulił ją do siebie.

— Kocham ciebie; tylko ciebie Josyno. Nie kochałem nikogo przed tobą. Moje życie zaczęło się dzisiaj.

ROZKOSZE KAPUI.

„Bystra“ była barką taką samą jak wszystkie inne; stara, zużyta, ale mocna, i starannie utrzymywana przez marynarza Deltre i jego żonę, którzy pełnili na niej rozliczne funkcje służby i załogi. Dla niewtajemniczonego oka „Bystra“ była barką przewożącą skrzynie, beczki, koszyki, ale właściwie nie przewożyła nic.

Mieściła pod pokładem trzy niewielkie kajuty, czyste i wygodnie umeblowane. Były to duże sypialnie przedzielone salonikiem, i tutaj spędzał Raul cały miesiąc z Józefiną Balsamo. Oboje Deltre, byli chmurni i milczący, wypełniali swoje obowiązki, nie wdając się nigdy w żadne rozmowy. Od czasu do czasu zjawiał się na horyzoncie niewielki statek i holował „Bystrą“ wzdłuż rzeki.

W trakcie tych podróży Raul podziwiał z pokładem rozwijające się przed nim śliczne widoki, podczas postojów odbywał długie i cudne wycieczki w towarzystwie swej ukochanej.

Dnie nieporównane! Raul jaśniał młodością i szczęściem. Malownicze wschody i zachody słońca, lasy w Bretonne, ruiny w Jumieges, gotyckie opactwo w Saint-Georges, cudowne zabytki w Rouen — wszystko dawało mu powód do wyrażania swej miłości w najżywszy, najnamiętniejszy sposób.

Jozyna, bardziej skryta, uśmiechała się tylko jak przez sen. Raul z każdym dniem stawał jej się droższym, i to co z początku było u niej kaprysem, — z przemijającej miłości przedzierzgnęło się w miłość. Cierpiała czując że kocha zbyt silnie.

O przeszłości, i o tem co w sobie kryła, nie wspominali nigdy. Raz jeden tylko Raul, strojąc żarty z tego co nazywał cudem jej wiecznej młodości, naprowadził rozmowę na ten temat.

— Cudem jest coś czego nie rozumiemy — odparła mu — naprzykład jadąc tutaj zrobiliśmy dwadzieścia mil w ciągu jednego dnia. Tobie to się wydało cudem ale gdybyś był bardziej uważnym spostrzegłbyś żeśmy mieli cztery, a nie dwa, jak sądziłeś konie. Leonard zmienił zaprząg w zajeździe w Doudeville, co było zawczasu przygotowane.

— Wspaniale — zawołał Raul z uznaniem.

— A teraz drugi przykład. Nikt na świecie nie domyśla się w tobie Arsena Lupin, a jednak, owej nocy, gdyśmy się spotkali po raz pierwszy, wiedziałam już kim jesteś w istocie. I to nie był żaden cud; poprostu interesuje mnie wszystko co ma jakikolwiek związek z Cagliostrem. Otóż czternaście lat temu, dowiedziawszy się o owej kradzieży historycznego naszyjnika księżnej de Dreux — Soubise, przeprowadziłam najściślejsze śledztwo, które doprowadziło mnie na ślad małego Raula d'Andressy, syna Ferfrasta Lupina. Śledząc cię w dalszym ciągu dowiedziałam się z czasem o innych twoich sprawkach. Otóż i nasza znajomość.

Raul zastanowił się kilka chwil, potem rzekł poważnie:

— W owym czasie, moja Jozyno, albo miałaś lat dziesięć, a trudno uwierzyć aby taki dzieciak mógł odkryć prawdę, której nie udało się odkryć najzręczniejszym ludziom, albo też byłaś już wtedy dorosłą kobietą, co byłoby tym razem naprawdę cudowne, piękna córko Cagliostro!

Żart nie przypadł jej do gustu, zmarszczyła brwi i powiedziała krótko:

— Nie mówmy o tem, dobrze?

— Szkoda — rzekł Raul którego w głębi serca irytowało to że znała przeszłość jego i pochodzenie,

i który w jakiś sposób chciałby się zrewanżować — doprawdy nic mnie tak nie interesuje jak problemat twego wieku i historia twego stuletniego życia. Wyrobiłem sobie o tem moje osobiste zdanie, i to dosyć zajmujące.

Spojrzała nań z mimowolnem zaciekawieniem, a on korzystając z tego ciągnął lekkim, żartobliwym tonem:

Rozumowanie moje opiera się na dwu przesłankach: 1-e jak twierdzisz sama, cuda nie istnieją, 2-e jesteś córką twojej matki.

Roześmiała się na te słowa.

— Co za obiecujący początek!

— Ponieważ jesteś córką twej matki więc musiała istnieć przed tobą jakaś hrabina Cagliostro. Przypuśćmy że mając lat dwadzieścia pięć zasłynęła urodą w Paryżu i potrafiła zaintrygować dwór Napoleona III. Z pomocą swego rzekomego brata (wszystko jedno czy to był jej brat, przyjaciel, czy kochanek) ułożyła całą historję pochodzenia od Cagliostro i wystawiła fałszywe dokumenty którymi posługiwała się policja przy wyjaśnieniu pochodzenia córki Józefiny Beauharnais i hr. Cagliostro. Wygnana jedzie najpierw do Włoch, następnie do Niemiec i znika.... aby po dwudziestu dwu latach znowu się zjawić, tym razem jednak jako godna

uwielbienia córka obecnej tutaj drugiej hrabiny Cagliostro.

Nieprawdaż, hrabino?

Jozyna siedząc bez ruchu, nie wyrzekła ani słowa. Ciągnął więc swoją opowieść dalej.

— Najzupełniejsze podobieństwo między matką i córką tak doskonale podobieństwo...

Zresztą pocóż mówić o obu hrabinach. Jest tylko jedna, jedyna którą mam przed sobą. Ona tu odziedziczyła tajemnicę ojca swego Józefa Balsamo hrabiego Cagliostro. Beaumagnan który rozpoczął swoje śledztwo nieuchronnie napotykał się na dokumenty które już policję napoleońską w błąd wprowadzały i na minjaturę i obrazy które identyczność tej samej osoby wskazywały i jej pochodzenie na czasy Madonny Luini określały.

Oprócz powyższego jest jeszcze jedno świadectwo — książę d'Arcole. Książę widział hrabinę Cagliostro tylko raz jeden a znając obraz Madonny nie mógł powstrzymać okrzyku: Oto ona i ciągle jeszcze w tym samym wieku!

W odpowiedzi zasypałaś go dowodami w postaci, że rozmowa ta miała miejsce z twoją matką o której dowiedziałas się z jej starannie prowadzonego pamiętnika. To jest podstawa i podłoże dalszych przygód.

Wszystko jest nadzwyczaj proste. Matka i córka podobne do siebie których piękność przypomina obraz Luini.

Istnieje jeszcze coprawda markiza Belmonte. Ja jednak znajduję że, podobieństwo tej damy do ciebie jest niewielkie i tylko wyschnięty i obłądny mózg pana Beaumagnan mógł was obie pomieszać.

Wszystko to nie jest jeszcze dramatem a dla mnie bardzo miłą i dobrze zadziergniętą intrygą którą przyrzekam wyjaśnić.

Raul zamilkł. Nie uszło jego uwadze że twarz Józefiny Balsamo nieco pobladła i rysy twarzy ściągnęły się w gniewie. Zaśmiał się więc i rzekł:

— Trafiłem, co?

Józefina Balsamo poruszyła się niespokojnie.

— Przeszłość moja należy do mnie i wiek mój nie ma nic do rzeczy. Zresztą możesz sądzić o tem co ci się żywnie podoba.

Raul rzucił się ku niej i objął ją silnym uściskiem.

— Myślę że masz około czterystu lat Józefino, a nie ma nic droższego pod słońcem, nad pocałunek takich stuleci! Możliwe że znałaś Robespierre i Ludwika XVI.

Nie było więcej o tem mowy. Raul d'Andressy przy każdej próbie wznowienia tego tematu widział

tak wyraźną złość że zaniechał wszelkich prób. Zresztą czyż nie znał całej prawdy?

Znał ją i nie miał żadnej wątpliwości. Pozostała jeszcze jedna tajemnica która go przykuwała do młodej kobiety.

Pod koniec trzeciego tygodnia zjawił się znowuż Leonard.

Pewnego poranka spostrzegł Raul kocz zaprzęzony w dwa nędzne koniki, którymi hrabina odjechała.

Wieczorem tegoż dnia powróciła. Leonard wyładował beły owinięte strannie sznurami i znikł za tajemniczymi drzwiami których Raul dotychczas nawet nie zauważył.

Nocą udało się Raulowi otworzyć owe drzwi i zobaczyć zawartość paczek. Mieściły one wspaniałe koronki i cudowne komże i stroje mszalne.

Na trzeci dzień odbyła się podobna wycieczka. Rezultat: przesłiczne gobeliny z szesnastego stulecia.

Tego dnia Raul nudził się bardzo. Kiedy znalazł się pewnego dnia sam jeden w Mantes wynajął rower i pojechał przed siebie. Po śniadaniu, opuszczając małe miasteczko, zauważył dom w ogrodzie którego kręciło się sporo ludzi. Podjechał bliżej. Licytowano piękne meble i srebra.

Z nudów obszedł cały dom wokoło. Szczytowa

ściana domu wychodziła na opuszczoną część ogrodu. Nie zdając sobie sprawy dlaczego to czynił chwycił Raul za występ muru i zajrzał do wnętrza przez okno.

Dał się słyszeć krzyk. Raul rozpoznał głos Józefiny Balsamo, która jednak opanowała się szybko i rzekła zupełnie swobodnie.

— Ach, to ty Raulu? Podziwiam ten zbiór małych oprawnych książek.. prześliczne i rzadkie.

To było wszystko. Raul okiem znawcy ocenił książki, podczas kiedy hrabina, zręcznie wyjęła z wiotryny medaljon, tak że Raul nawet nie spostrzegł tego.

Zeszła na dół. W rozgwarze wielu zebranych osób nie zwróciła niczyjej uwagi.

W odległości trzystu kroków oczekiwał na nią powóz.

Odtąd „pracowali“ razem w Pontoise, w Saint-Germain oraz niekiedy w Paryżu.

Przy wyprawach tego rodzaju Raul wyraźnie zyskiwał coraz większą wyższość nad skrytym charakterem i zagadkową duszą Józefiny. Wesoly uśmiech wieńczył każdą jego operację.

— Stało się — mówił. Pokazałem cncie plecy. Zresztą bierzmy to wszystko lżej; nie tak melancholicznie... jak ty Józefino.

Przy każdej nowej okazji odkrywał w sobie coraz nowe talenta i ukryte własności. Nieraz, towarzyska jego, słyszała w towarzystwie, na wyścigach czy w teatrze wesóły jego głos a jednocześnie widziała w rękach ukochanego, złoty zegarek, lub w krawacie nową kosztowną szpilkę.

I zawsze ta sama zimna krew i spokój człowieka któremu nic nie grozi.

Nie przeszkadzało mu to jednak przedsiębrać wszelkie środki ostrożności jakie zalecała Józefina. Sama ona opuszczała Pinasse w ubraniu kobiety z ludu. W jednej z sąsiednich ulic oczekiwał na nią koczyk zaprzężony w jednego konia. W nim przebiegała się narzucając na siebie koronkowy szal który służył jej jako płaszcz.

Te i inne niezliczone drobnostki ukazywały Raulowi swoją ukochaną w prawdziwym świetle. Nie wątpił on że jest ona hersztem jakiejś bandy z członkami której porozumiewała się za pośrednictwem Leonarda. Nie wątpił również że Józefina w dalszym ciągu starała się wyświecić zagadkę średniowiecznego świecznika i śledziła Beaumagnan i jego przyjaciół.

Podwójne życie jakie prowadziła, było źródłem ustawicznych wyrzutów ze strony Raula, który sam zapominał o swoich czynach. Ukochana — która

była złodziejką i przywódczynią bandy! Nie, nie taką rolę marzył dla swojej wybranej.

Coraz częściej zdarzały się owe nieporozumienia i coraz ostrzejszy był ich charakter.

Pewnego dnia spostrzegli wchodzących do „Varietes“ trzech przyjaciół Beaumagnan, d'Etiques i Bennetot.

— Chodźmy za nimi.

Hrabina wahała się. Raul jednak nalegał.

— Jak można nie wykorzystać takiej okazji, byłoby to błędem nie do darowania.

Weszli oboje i zajęli miejsce w ciemnej parterowej łoży.

W jednej z łoż w pobliżu sceny rozpoznali Beaumagnan z jego dwoma przyjaciółmi.

Natętnie cisnęła się Raulowi myśl. Co skłoniło Beaumagnan, człowieka religii i surowych obyczajów, do odwiedzenia bulwarowego teatrzyku w którym dawano bardzo naciągnięty program, nie mogący go w żadnym razie interesować.

Raul podzielił się tą myślą z Józefiną. Nie odpowiedziała mu ani słowem. Mniemana obojętność z jaką przyjęła jego uwagę wskazała Raulowi dokładnie że w tym wypadku kobieta ta nie życzy sobie jego współpracy.

— Dobrze — zdecydował — każdy dla siebie. Zobaczmy komu przypadnie najsmaczniejszy kasek.

Na scenie dawano aktualne kawalki. Młoda aktorka, Commere, w roli „szmeru“ usprawiedliwiała go istnym potokiem fałszywych kamieni, które wprawione ruchami giętkiego ciała przypominały szum strumienia.

Dwa akty minęły. Łoża w pobliżu sceny zasłonięta firanką nie pozwalała widzieć trzech przyjaciół. Podczas przerwy, Raul przechodząc мимо zauważył uchylone drzwi. Zajrzał ostrożnie. Nikogo. Nikogo nie było. Służba objaśniła go że trzej panowie opuścili teatr przed pół godziną.

— A więc i nam nie pozostaje nic innego jak pójść w ich ślady rzekł do hrabiny.

Nim jednak otrzymał odpowiedź podniesiono kurtynę do góry.

Na scenie zjawiła się Commère. Roztrzęsioną jej fryzurę obejmowała opaska ze złotej tkaniny z dużymi turkusami. Było ich siedem.

Siedem! pomyślał Raul. To mi wyjaśnia przyczynę wizyty Beaumagmana.

Podczas kiedy Józefina ubierała się do wyjścia, Raul zdażył zasięgnąć informacji że aktorka Commère, Brygida Rousselin, zamieszkiwała stary dom

na Montmartre, skąd codziennie w towarzystwie swej pokojówki, imieniem Walentyna udawała się na próby do teatru.

Następnego dnia około godziny jedenastej Raul opuścił dom. Śniadanie spożył w jednej z licznych restauracyj na Montmartre, około południa zatrzymał się w pobliżu wąskiego domu przytykającego do olbrzymiej budowli. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć że najwyższe piętro tej budowli stało pustkami.

W głowie Raula powstał nagle plan, który prawie mechanicznie zaczął wcielać w życie.

Rozpoczął spacer wzdłuż domu jakgdyby oczekiwał na kogoś o umówionej porze.

W jednej chwili, kiedy portjerowa dużego domu zajęta była oczyszczaniem ulicy, przemknął się niespostrzeżenie do wnętrza. Wbiegł na górne piętro i bez trudu otworzył drzwi do pustego lokalu. Upewniwszy się, że nikt go dojrzeć nie może, otworzył okno i zeskoczył na dach niżej położonego budynku.

W pobliżu znajdowało się okienko od strychu, wypełnionego różnymi wysortowanymi przedmiotami. Uchyliwszy drzwi prowadzące do wnętrza domu mógł widzieć klatkę schodową do drugiego piętra i częściowo wewnętrzne stopnie domu. Drabi-

ny, jednak, któraby mu pomogła do zejścia nigdzie w pobliżu nie było.

Z dołu to jest z pierwszego piętra dały się słyszeć kobiece głosy. Raul wychylił się możliwie daleko i z kilku dorywczych słów wywnioskował, że młoda aktorka śniadanie jadła w sypialni. Cała służba w tym domu składała się z jednej pokojówki.

— Dostyc — zawołała Brygida Rousselin i weszła do jej pokoju.

— Ach! Walentyno jak dobrze. Dziś, nie mam żadnej próby. Kładę się i leżeć będę aż do wyjścia.

Obecność aktorki pokrzyżowała zupełnie plany Raula. Miał nadzieję że podczas jej próby w teatrze uda mu się spokojnie przeszukać całe mieszkanie. Pomimo to czekał dalej cierpliwie licząc na jakiś szczęśliwy przypadek.

Tak przeszło kilka minut. Brygida nuciła melodie z „revue“, kiedy nagle rozebrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych.

„Dziwne — rzekła — nie oczekuję nikogo. Zobacz Walentyno kto tam. Dziewczyna zeszła na dół. Słychać było trzaśnięcie drzwi, poczem wbiegła na górę i rzekła:

— Z teatru . . . Sekretarz dyrektora przesyła ten list —

— Daj tutaj. Czy poprosiłaś go do salonu?

— Tak.

— Raul spostrzegł młodą aktorkę, której pokojówka podawała list.

Rozerwawszy kopertę czytała półgłosem:

— Kochana, mała Rousselin, bądź łaskawą wydać memu sekretarzowi swój djadem z głowy. Potrzebuję go jako wzoru. Dziś wieczorem w teatrze będzie znów do Twojej dyspozycji.

Kiedy Raul usłyszał tych kilka zdań zadrżał cały.

— Więc to tak! Djadem z kamieniami. Z siedmioma turkusami!

Czyżby dyrektor był również na tropie? Ciekawe czy Brygida zastosuje się do jego życzenia. Uspokoił się jednak wkrótce. Młoda kobieta wyszeptwała:

— Niemożliwe, kamienie te już przyrzekłam.

— Nieprzyjemna sprawa — wtrąciła Walentyna — Dyrektor będzie się wściekał.

— Cóż chcesz? Ja przyrzekłam je komuś, kto mnie dużą sumę za nie ofiarowuje.

— Jaka więc odpowiedź mam zanieść sekretarzowi?

— Poczekaj, napiszę mu kilka słów.

Weszła do swej sypialni i w kilka minut później wręczyła dziewczynie kopertę.

— Czy znasz tego sekretarza? Widziałas go kiedy w teatrze?

— Nie. To musi być jakiś świeżo zaangażowany.

— Niech powie on dyrektorowi, że mi jest niewymownie przykro, ale wieczorem osobiście tę sprawę wyjaśnię.

Walentyna zeszła. Minęła znowu długa chwila. Brygida usiadła do fortepianu przerabiając ćwiczenia głosowe, które zagłuszyły skrzyp drzwi wejściowych tak, że Raul ich nie usłyszał.

Było coś dziwnego w tym zbiegu okoliczności, czego Raul nie mógł narazie pojąć. Sekretarz, którego nikt nie zna; prośba o wypożyczenie kamieni. Wszystko to było zbyt przypadkowe, aby mogło być naturalne.

Wkrótce jednak uspokoił się. Widząc cień przechodzącej osoby pomyślał, że Walentyna wróciła z powrotem do sypialni, a więc tym samym podejrzania okazały się błędne. Człowiek ten wyszedł,

Nagle fortepian zamilkł i taburec na którym śpiewaczka siedziała energicznie został popchnięty i dał się słyszeć pełen niepokoju głos:

— Kto pan jest? . . . Ach, sekretarz nie prawdziwy? Nowy sekretarz. Ale co pan sobie właściwie życzy?

— Pan Dyrektor — rozpoczął męski głos dał mi rozkaz dostarczenia mu owej przepaski. Muszę więc . . .

— Ależ ja w tej sprawie odpisałam jemu wtrąciła Brygida ciągle jeszcze wylekniona — Pokojówka zapewne list ten panu wręczyła. Dlaczego ona z panem nie wróciła? Walentyno!

Kilkakrotne wezwania pozostały bez echa. Walentyno!... Ach pan mnie przestrasza!... Pańskie oczy....

Drzwi, pchnięte silną dłonią, zatrzasnęły się.

Raul usłyszał padające krzesło, niewyraźne odgłosy walki i naraz głośny krzyk:

— Na pomoc.

Poczem zapanowała martwa cisza. Raul jednym skokiem mimo znacznej wysokości znalazł się na drugim piętrze i stanął przed trzema zamkniętymi drzwiami.

Na los szczęścia rzucił się do jednych, otworzył je i wszedł do pokoju w którym panował wielki nieład. Ponieważ nie spostrzegł tu nikogo przebiegł do następnego pokoju i tu w półcieniu, ponieważ

sztory w oknach opuszczono, ujrzał kłęczącego człowieka.

Na dywanie leżała rozciągnięta młoda kobieta, którą łotr obiema rękoma trzymał za gardło. Słychać było ciche jęki i rżenia.

— Do diabła, uspokoisz się wreszcie! Ach przeklęta nie chciałaś wydać klejnotów. Poczekaj ty . . .

Raul rzucił się nań z taką furją, że ten musiał natychmiast puścić swą ofiarę.

Obaj mężczyźni zatoczyli się i uderzyli o wystający kominek, przytem tak silnie, że Raul stracił chwilowo przytomność.

Morderca był znacznie cięższej wagi i walka między wysmukłym młodzieńcem i człowiekiem o atletycznej budowie i muskulaturze nie mogła trwać długo.

W samej rzeczy po upływie kilku chwil zwałił się jeden z napastników z jękiem na ziemię, podczas kiedy drugi podniósł się.

Tym drugim okazał się jednak Raul.

— Wspaniałe uderzenie, co — sztych! — Jest to pamiątka moich lekcyj u Teofrastusa Lupin. Kapitalna japońska metoda. W kilka minut można posłać na inny świat lub uczynić potulnego jak jagnię.

Schylił się nad młodą tancerką, uchwycił pod ramiona i przeniósł na łóżko. Natychmiast spostrzegł że ordynarny chwyt mordercy nie usmiercił aktorki. Oddychała i nie widać było żadnych ran.

Drżała tylko na całym ciele i błędnymi oczami wpatrywała się weń.

— Czy panią gdzie boli? — szeptał miękko.

— Nie, nieprawdaż? Przedewszystkiem pozbadź się pani wszelkiej obawy. Napastnik przestał być groźnym.

Chwycił za sznury przy sztorach, zerwał je i związał silnie obezwładnionego przeciwnika. Odwrócił go następnie do okna aby rozpoznać twarz.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył oblicze Leonarda.

Dotychczas nigdy nie miał okazji, zajrzeć zbliska w twarz temu człowiekowi. Wiecznie siedzący na koźle zawinięty w paltot i zwrócony doń plecami, nie dawał pola do obserwacji.

Znał jednak doskonale jego kościsty profil zaroiśnięty ciemną brodą. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Był to Leonard, prawa ręka i zaufany Józefiny Balsamo.

Związał go dokładniej, zakneblował przezornie

i zaciągnawszy do sypialnego przywiązał do ciężkiej kanapy, poczem wrócił do młodej kobiety.

— Proszę się uspokoić, nie zobaczy go pani więcej. Teraz pójdę zobaczyć pani pokojówkę.

Walentyna leżała, w takim samym stanie jak obecnie Leonard, t. j. związana, zakneblowana i przytwierdzona do łóżka.

Była to jednak sprytna kobietka. Uwolniona z więzów ściśle zastosowała się do wszystkich wskazówek Raula.

— Jestem agentem tajnej policji. Uratowałem twoją panią.

Proszę pójść na górę i otoczyć ją opieką. Ja muszę przesłuchać napastnika i zbadać czy nie ma on wspólników.

Raul najchętniej byłby się ulotnił. Opanował się jednak i czekał. Serce mu biło niespokojnie. Podszedł do drzwi wejściowych i odemknawszy zamki uchylił je nieco.

Przez szparę w drzwiach spostrzegł po przeciwnej stronie ulicy stary kocz.

Na koźle siedział młody człowiek, którego widywał nieraz z Leonardem, imieniem Dominik.

Ale czy nikogo nie było wewnątrz? Ktoby to mógł być?

Raul pozostawił drzwi niedomknięte. Podejrzenia jego potwierdziły się i obecnie żadna siła ludzka nie była w stanie oderwać go od zbadania tej sprawy aż do gruntu. Przeszedł na pierwsze piętro i pochylił się nad pojmanym Leonardem.

Pewna drobnostka podczas walki, szczególnie zwróciła jego uwagę. Oto duży drewniany gwizdek zawieszony na łańcuszku, który wypadł w czasie szamotania. Leonard mimo niebezpieczeństwa w jakim się znajdował chwycił zań jak gdyby bojąc się go utracić. Czyżby to miał być znak ucieczki dla kompanów lub też sygnał wzywający pomocy? Raul instyktownie skłaniał się bardziej ku temu ostatniemu przypuszczeniu.

Uchylił nieco okna aby wyraźnie można było usłyszeć gwizd, sam zaś skrył się za sztorę, gwizdnął i czekał. Serce mu biło niespokojnie. Przeczynał mające nastąpić wypadki. Wbrew jednak rzeczywistości łudził się jednak jeszcze, że współpracą Leonarda w tem zbrodniczem dziele może nie być...

Drzwi się otworzyły.

Weszła Józefina Balsamo.

Weszła z całą swobodą i spokojem jak gdyby w odwiedzinach do przyjaciółki.

Czegóż miała się obawiać. Skoro tylko Leonard

dał jej umówiony znak droga była wolna. Spowita więc w swój szal śmiało wstąpiła w progi domu.

Po nagłym wstrząsie jakiego Raul doznał na widok Józefiny uspokoił się już zupełnie. Gotów był do walki z drugim przeciwnikiem tym razem jednak innymi środkami, jakkolwiek niemniej skutecznymi.

Cicho przywołał Walentynę.

— Cokolwiek by się stało — ani słowa. Widzę tu cały spisek przeciwko Brygidzie Rousselin, który muszę wysledzić. Zalecam więc absolutnie milczenie.

— Mogłabym pomódz. . . Może pobiedz po policję?

— Pod żadnym warunkiem. Jeżeli historia stanie się głośną Brygidzie to poważnie zaszkodzi.

Raul zamknął drzwi łączące oba pokoje. W ten sposób pokój w którym leżała Brygida został oddzielony od pokoju w którym miała za chwilę rozegrać się scena między nim i Józefiną.

W tej chwili ukazała się Józefina Balsamo.

Po odzieży poznała natychmiast skrupowanego Leonarda. Raul wiedział dobrze, że kobieta ta w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, potrafi doskonale panować nad sobą. Daleka od tego aby dzi-

wiść się obecności Raula, pracowała jednak myślą intensywnie nad rozwiązaniem zagadki.

Co to wszystko znaczy? Czego tu chce Raul? Kto związał Leonarda?

Wreszcie odrzucając szal zapytała zupełnie naturalnym głosem:

— Raul! dlaczego patrzysz na mnie tak dziwnie?

Potrzebował chwili czasu aby jej odpowiedzieć. Słowa które miał wyrzec były straszne, wpatrzył się więc w nią badawczo, aby nie stracić żadnego drżenia mięśni czy drgnięcia powiek.

— Brygida Rousselin została zamordowana.

— Brygida Rousselin?

— Tak, tancerka z wczorajszego wieczora z djademem na czole.

Ośmielam się wątpić że nic o tym nie wiesz, ty, która kazałaś Leonardowi zawiadomić się po ukończonej „robocie“.

Józefina zdawała się tracić zimną krew.

— Leonard? Leonard?

— Tak, — potwierdził — On zamordował Brygidę. Zaskoczyłem go właśnie w chwili kiedy oburącz dusił biedną kobietę.

Raul widział jak Józefina drżała. Upadła wreszcie na krzesło i wyszeptła:

— Nędznik!... Nędznik!... Czy możliwe aby on to uczynił? —

I cicho dodała ze wzrastającym przestraczem:

— Zamordował... zamordował... Czy to możliwe? Przysięgał mi że mordować nie będzie. Przysięgał mi to. O nie, nie mogę temu uwierzyć. —

Była ona szczerą w tej chwili czy grała komedję? Straszne pytanie na które Rauli nie znajdował odpowiedzi.

Józefina Balsamo podniosła głowę, spojrzała na Raula z lśniącoymi w oczach łzami i przysięgała ze wzniesionymi rękami.

— Raul... Raul... dlaczego patrzysz tak na mnie? Nie... nie... nieprawda? Ty nie oskarżasz mnie, ach to byłoby straszne. Jak mogłeś uwierzyć że ja wiedziałam, że ja mogłam rozkazać lub zezwolić na coś podobnego? Nie, przysięgnij mi że nie wierzysz temu! O Raul... mój Raulu!

Nieco brutalnie zmusił ją aby usiadła. Przeszedł kilkakrotnie po pokoju poczem przystąpił do niej biorąc ją za ramię.

— Słuchaj mnie, Józefino, zaczął powoli głosem oskarżyciela, jeżeli w przeciągu pół godziny nie wy-

jawisz mi zupełnie całej historii i jej współuczestników to postąpię z tobą jak ze śmiertelnym przeciwnikiem.

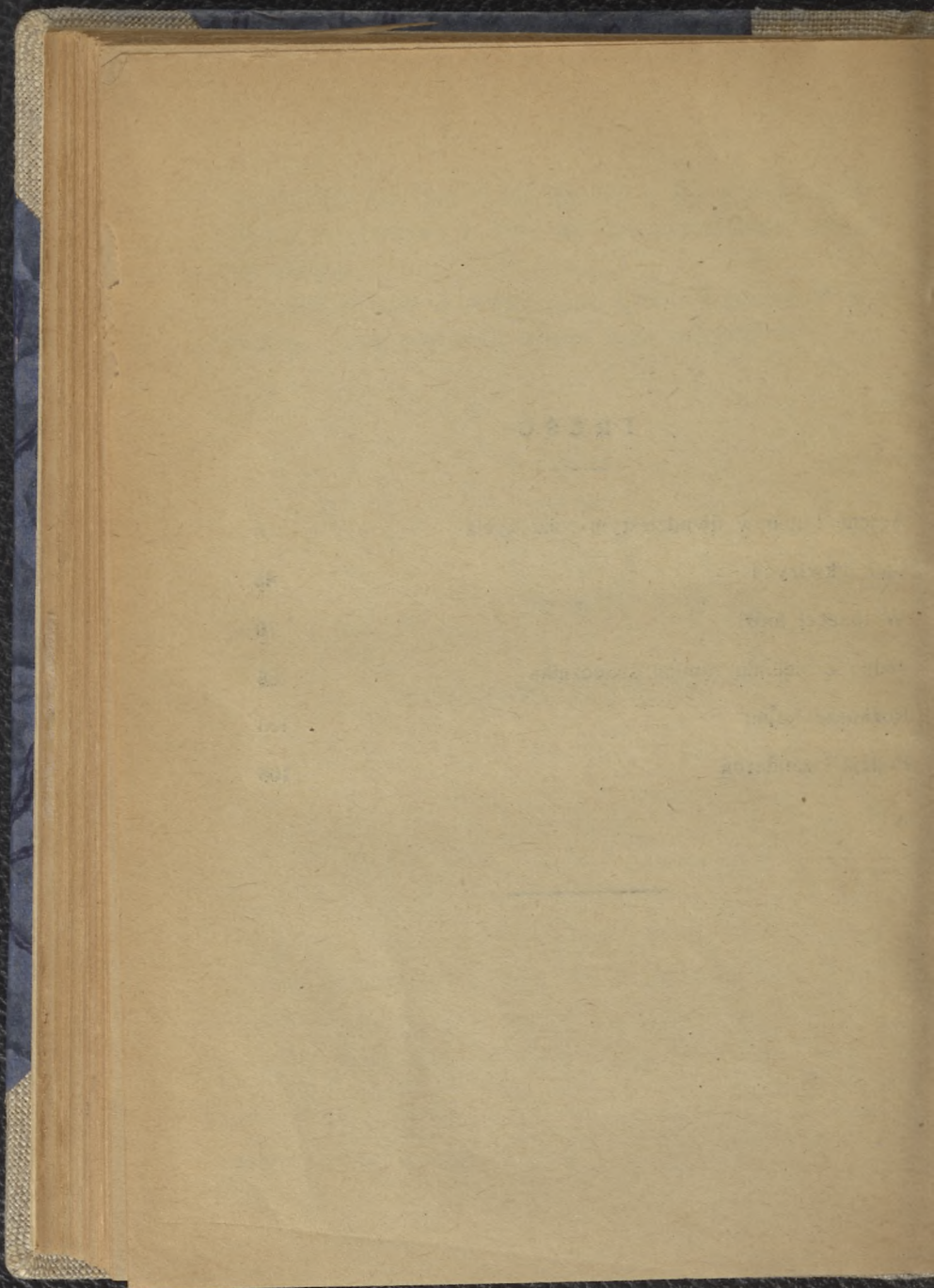
Oddam Cię w ręce policji. Ciebie i twoich kompanów. Czy zechcesz wobec tego mówić? —

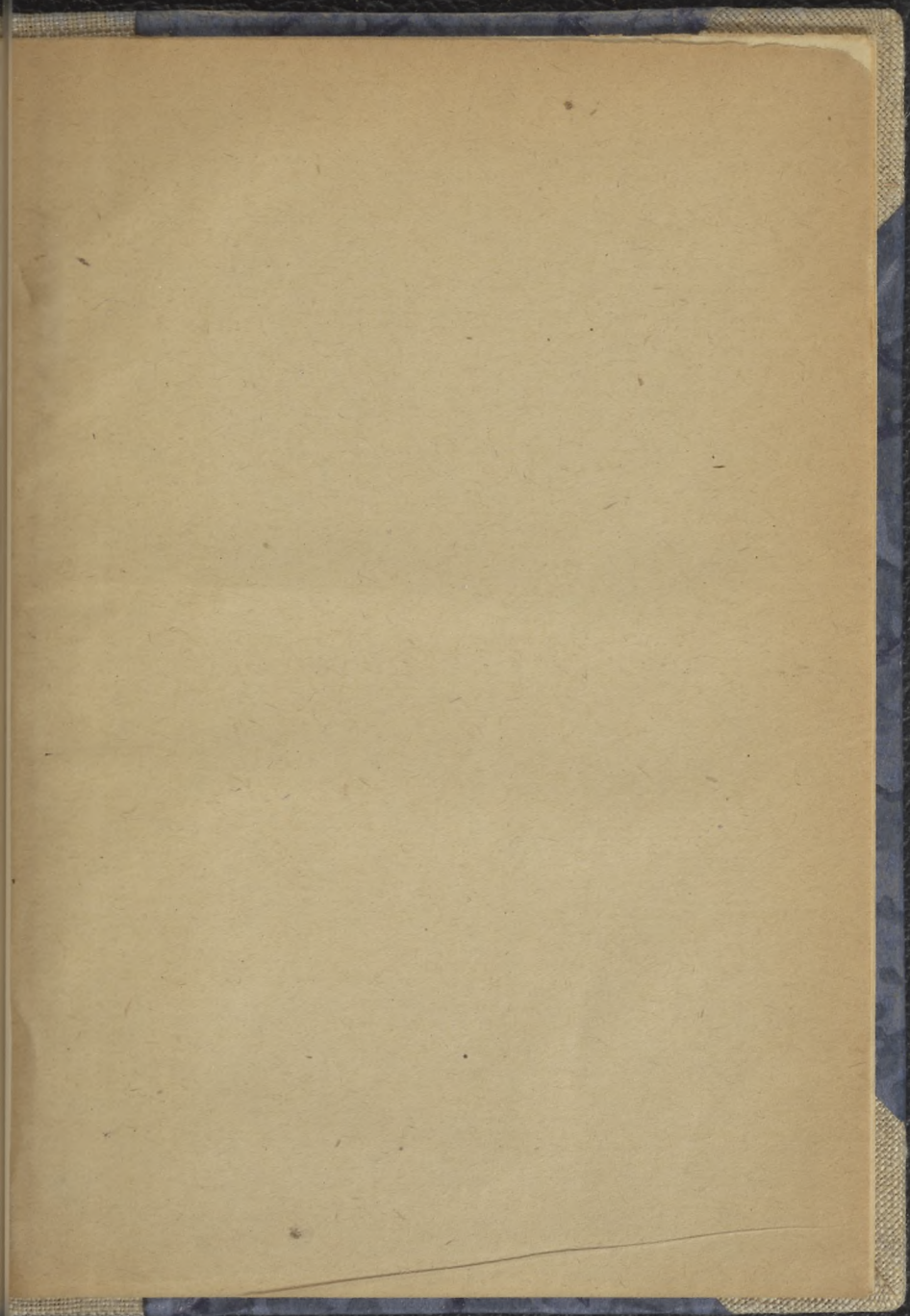


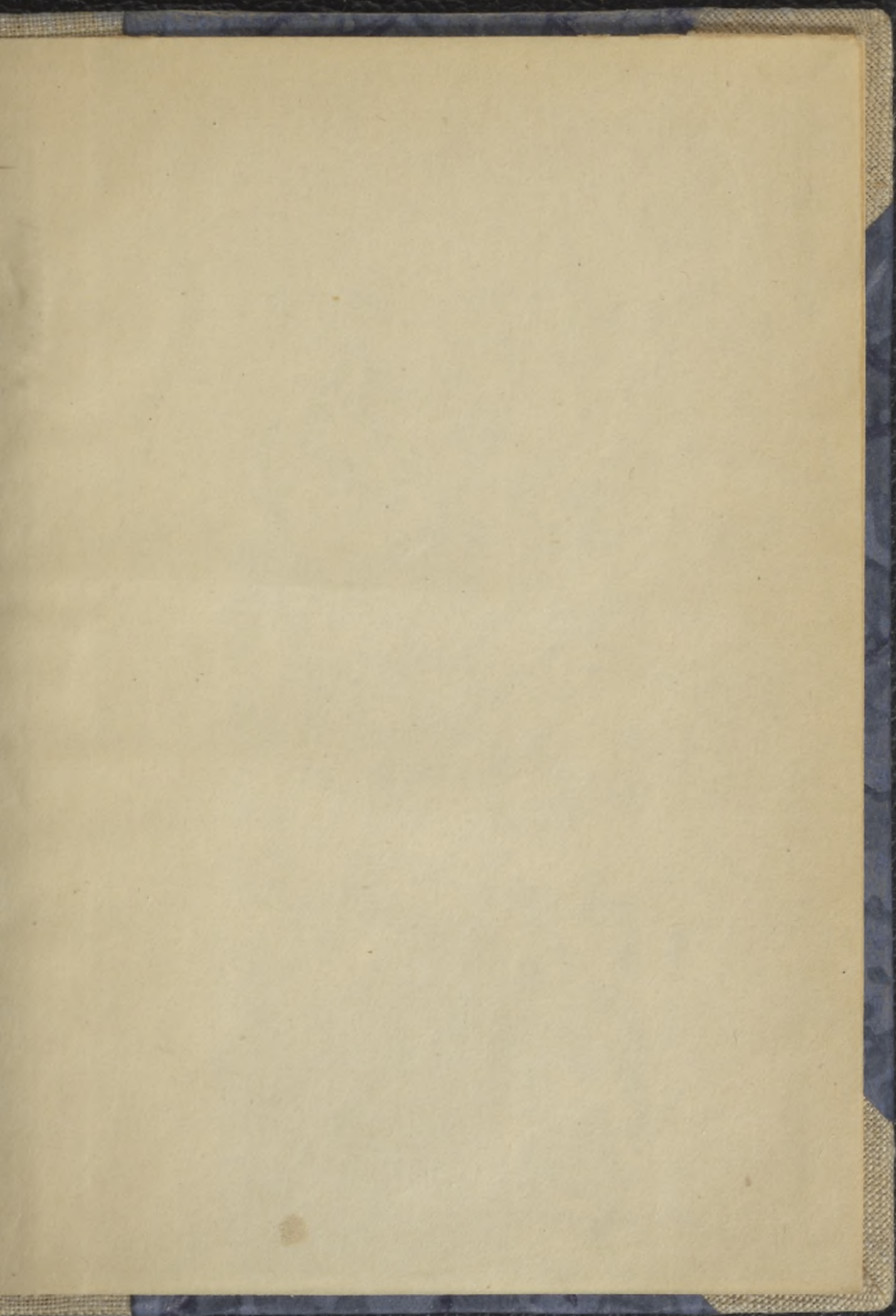
Koniec tomu pierwszego.

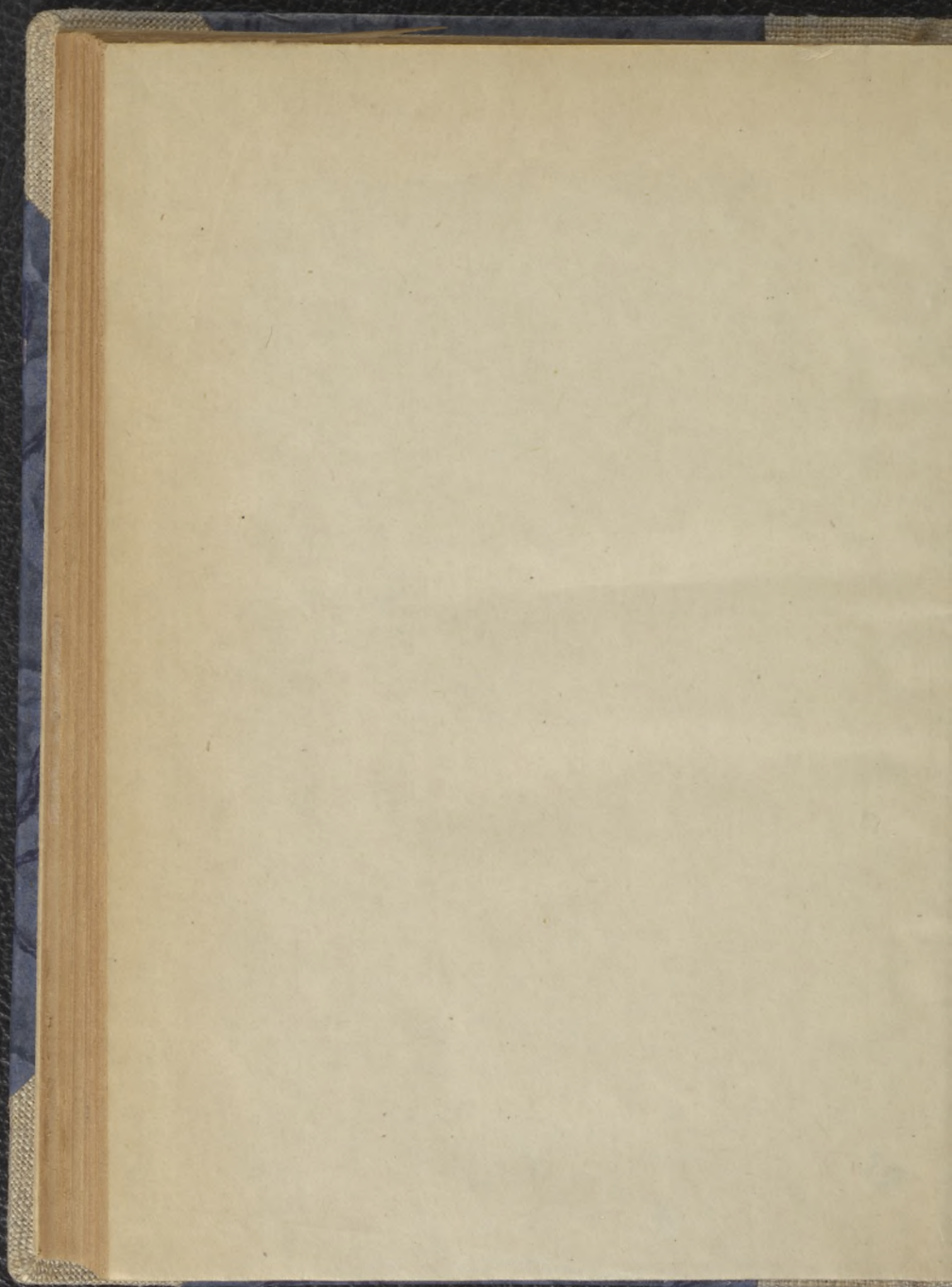
TREŚĆ

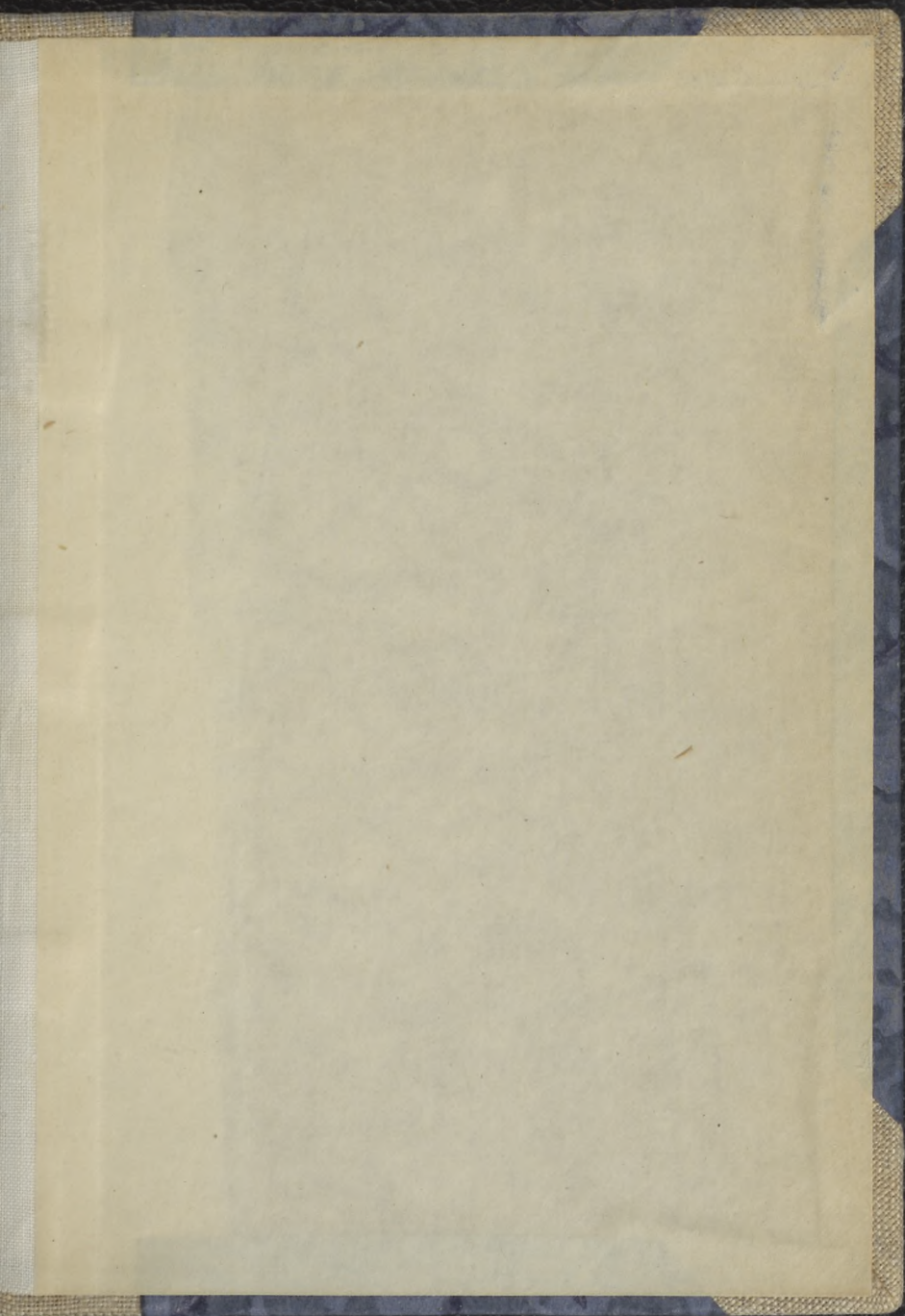
Arsene Lupin w dwudziestym roku życia	5
Sąd inkwizycji	45
W tonącej łodzi	70
Jedno z siedmiu ramion świecznika	88
Rozkosze Kapui	133
Policja i żandarmi	108













452204

BIBLIOTEKA
NARODOWA